



Tadeusz Płaskowski

## W poszukiwaniu sensu życia

W dzienniczku swoim zapisuję bardzo ważną datę historyczną – 1 września 1939 roku. Na dziedzińcu koszar pułku piechoty w Rokitnie Wołyńskim stoją zamarłe w bezruchu szeregi. Linia srebrnych bagnatów lśni w słońcu. Jaka szkoda, że nie urodziłem się o parę lat wcześniej. Byłbym może wśród nich?

Redisówka moja prowadzona ręką niespełna czternastolatka zaledwie pisze: – głuptasie, żałuj, że nie leżysz jeszcze w kołysce. Przesiusiałbyś całą tę gehennę, która przez historię nazwana zostanie drugą wojną światową. Jeżeli przeżyjesz to zobaczysz ją z bliska, poczujesz jej smak, jej jarzmo, strach przed jutrem. Należysz do pokolenia wojny tej, wojny złej.

– Uwaga! Uwaga! Koma trzy nadchodzi, nadchodzi – przeszedł, przeszedł, chrypi głośnik radiowy. Co to znaczy? Koma trzy nadchodzi? – przeszedł?

– Nie wiesz synku? – mówi Ojciec. Dziś rano faszystowskie Niemcy zbrojnie zaatakowały nasz kraj. Bomby już lecą na Warszawę. Wojna, wojna. – „...Wczoraj (2 września komunikat radiowy, który złapałem – podawał) w godzinach rannych, pod Chojnicami, Niemcy przekroczyli zbrojnie polską granicę. Armia polska „Pomorze”, pod dowództwem generała Bortnowskiego stawia wojskom niemieckim bohaterki opór. Żołnierz polski...” – Głos spikera nagle się urywa.

\* \* \*

Rotmistrz Zdzisław Bogucki – ojciec mego rówieśnika z powszechniaka – pręży się w mundurze przed lustrem podkręcając dumnie sumiastego wąsa.

– Ślicznie ci Zdzisieczku w tym nowym mundurku, jest bardzo twarzowy – mówi pani rotmistrzowa do męża. – Ten mój ordynans słabo doczyścił pochwę szabli, marszczy czoło pan rotmistrz, oglądając zwisające na rapciach lśniące mimo wszystko szabliśko.

– „...Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie...” – nuci wesoło Kazik – syn rotmistrza. – Ty tátu nie spadniesz – prawda? Wrócisz z wojny pułkownikiem z Orderem Virtuti Militari na bohaterkiej piersi. Pan rotmistrz, kraśniej. Widać, że marzenia syna bardzo mu schlebiają. Podchodzi, stuka ostrogami i składa pocałunek na czole syna.

– Panie rotmistrzu! Melduję posłusznie, że Huragan gotów do drogi. Luzak przybędzie za kwadrans. – Spocznij! – Baczność! W tył zwrot! Kierunek sufit marsz! – wrzeszczy Kazik do strapionego, lecz wykonującego jego „rozkazy” żołnierza. – Cha, cha, cha śmieje się pan rotmistrz. Udałeś mi się synu. –

Stój Brona. Mój syn żartował. – Jak myślicie Brona, nakopiemy szwabom do tyłka? Zachciało im się wojaczki, to ją mają. Francuzi tylko na to czekali, a i jeszcze Anglicy. Weźmiemy szwabów w kleszcze, o tak, i zadusimy.

– Bo ja wiem panie rotmistrzu? – My myślę, to znaczy my chłopcy, że szwab jest silny, mają te, no jak tam one, pancerne to to. – Czołgi – podpowiada rotmistrz. – O, szołgi, szołgi – jąka się Brona. – Kupę aroplanów, zeppelinów. – Samolotów – wtrąca Kazik. – Przepraszam panicza – samolotów. – No, no, co jeszcze – mówi zaciekawiony rotmistrz. – Bo ja wiem? Szwab jest silny i tyle. Co zrobi koń takiemu pancernowi, takiemu gadowi, co pluje i pluje ołowiem. Albo kabek przeciw temu zep... przepraszam, samolotowi. – Bajdurzysz Brona – żacha się pan rotmistrz – te ich czołgi to dykta, fornier rozumiesz a samoloty to płótno. Broń strzelecka wystarczy. – Taaak? – No jeżeli pan rotmistrz tak powiadają, to musi być prawda – mówi ułan Brona – tedy nakopiemy szwabowi do du... pfu, przepraszam panią rotmistrzową, do tego, do spodni.

– Możesz odejść Brona – rozkazuje rotmistrz. – Tak jest! Ułan Brona opuszcza dom państwa Boguckich. – Jedziemy kobyłko, jedziemy – mówi pieszczotliwie do konia. „Koniu, koniu, koniu siwy mój. Któż cię koniu będzie pasł, jak ja w bojach będę hasał, koniu, koniu, koniu siwy mój.” Kołysząc się w siodle nuci ordynans ułan Brona. A ja rwałem do domu co sił na moich bosych nogach, aby czym prędzej, ogryzkiem chemicznego ołówka, przenieść na kawałek karteluska swego dzienniczka scenę z domu państwa Boguckich, bo przecież pamięć ludzka jest ulotna, jak mawiał mój chrzestny tata, generał „Zaza” Zygmunt Podhorski, o którym szerzej na dalszych stronach mego dzienniczka.

\* \* \*

Za miedzą naszej chałupki kłócą się państwo Giejszterowie: – Aj waj, co to będzie, co to będzie? Ty Natan, powiedz coś! Milczysz jak mur. Byłeś u rebe, on mądry, on dużo wie. Natan Giejszter patrzy bezmyślnie na żonę, która jak kwoka otoczona sześciorgiem małych, brudnych bachorów papie bez związku. Ruszyła starego szewca paplanina żony. – Ruto – mówi – czego ty się bać? Co my stracić? Trochę narzędzi i kopyt do sabotów? Ten zasrany kąt z grzyb na ścianie? Giejszter i jego rodzina był głodny, jest głodny i umrze głodny. Miał wszy, ma wszy i będzie je miał. Patrz Ruto, Mosiek je bić, te wszy, młotek a ich nie ubywa.

– Ty durny, miszugine – papie Ruta – Niemcy nas wszystkie chzabić, ciebie, mnie i ich małych. – Niemcy nas nie zabić – mówi Natan. My biedne ludzie, ja rzemieślnik, dobry szewc. Może tu przyjdzie Rosja Sowiecka. Bolszewiki. Rabę mówił, że Armia Czerwona stać i czekać na rozkaz Józefa Stalina. Ona przyjdzie na Ukrainę, na Kresy. Tylko sza Ruta, sza. – A teraz do roboty, do roboty, jest nas osiem gęb do essen. Szewc musi ciężko pracować. Ani Mościcki, ani Stalin chleba darmo nam nie dadzą. Natan uruchamia swój młotek – tach, tach, tach.

Sympatyczni sąsiedzi milkną, oprócz młotka Natana, ja zapalam naszą karbidówkę i przy niej notuję w dzienniczku rozmowę naszych sąsiadów. Przyda się dla potomnych.

\* \* \*

Wojna trwa już piętnasty dzień. A więc jest 15 września 1939 roku. Poszedłem do księdza proboszcza na plebanie. Prosił Mamę, abym narażał mu drzewa. Często to robiłem. Kapłan po obfitym poczęstunku udzielał mi błogosławieństwa i rad chrześcijańskich na przyszłe, dorosłe życie. Dzisiaj nie krępując się mnie rozpoczął rozmowę ze swoją gospodynią. – No Katarzynko, jestem spakowany – zaczął ksiądz Włodzimierz Probisz. Jutro, pojutrze żegnam Rokitno Wołyńskie. Tu przyjdą bolszewicy. Szkoda naszego kościółka. To plemię Hunów, czerwonych Hunów zrobi zeń stajnię, chlew, albo spali nasz Boży Dom.

– To księżę proboszczu u nich nie ma cerkwi? – pyta nieśmiało Katarzyna. – Córko, bój się Boga, to ty nie wiesz? Te czerwone diabły już w roku 1917 spalili prawie wszystkie cerkwie a popów wyrznęli. – Co też ojciec duchowny powiadają. W imię Ojca i Syna – żegna się pobożnie Kasia. – Tak, tak córko, to pomsta Boga za grzesznych i niewiernych – dodaje ksiądz Probisz. – Przynieś Kasiu flaszeczkę mszalnego, tego najstarszego. Już nie będzie potrzebne. Napijemy się na pożegnanie. Tadeuszkowi też postaw ten mały kuścyczek. Pozwalam i od razu rozgrzeszam. Ale tylko jeden. – Nie odmówiłem. Był to pierwszy łagodny trunek jaki piłem w swoim jakże jeszcze krótkim życiu.

– Córko moja – odezwał się znów kapłan – nic nikomu nie mów gdzie wyjeżdżam. Już jutro przybędzie mój następca, bowiem owczarnia nie może pozostać bez pasterza. A owczarnia nasza jest szczególna. Wielonarodowościowa. Są w niej również katolicy rodzin mieszanych, ukraińsko-polskich i polsko-ukraińskich. Niełatwy kawałek chleba czeka mego zmiennika. Ale to jeszcze Junosza, poradzi

sobie. Tobie Kasiu zostawiam dobrą rekomendację za wierną służbę kościołowi i proszę cię abyś obowiązki gospodyni pełniła w dalszym ciągu tak jak za mnie. Mój następca przybędzie z Klesowa.

\* \* \*

Księżulek W. Probisz nie wyjechał z Rokitna Wołyńskiego. Prawdopodobnie rozmyślił się. Pozostał na swoim kapłańskim posterunku. Trwał na nim jeszcze w połowie 1942 roku. Pamiętam, że dzień przed moim aresztowaniem przez gestapo widziałem księdza w jego przykościelnym ogrodzie. Jak zobaczył mnie zgiętego pod ciężarem podkładu kolejowego, który taszczyłem na opał, uczynił na powitanie znak krzyża świętego. Od tamtej pory nigdy księdza nie widziałem i nic o nim nie słyszałem.

## **Bolszewicy wkraczają do Rokitna Wołyńskiego**

Ponownie w swoim dzienniczku-pamiętniku wpisuję bardzo ważną datę – 17 września 1939 roku. Niemcy, będący w wojnie z Polską siedemnasty dzień, nie wtargnęli do Rokitna. Na tereny moich rodzinnych stron wkraczała zbrojnie sowiecka armia.

Na przedmieściach Warszawy, w murach Cytadeli modlińskiej, na małym skrawku Westerplatte, polala się krew najwaleczniejszych żołnierzy września. Tekturowe czołgi i płócienne samoloty – te z wyobraźni pana rotmistrza Boguckiego – gąsienicami i bombami grzebały w zgłiszczach i gruzach miasta, wsie i mieszkańców. Pan rotmistrz – jak się potem dowiedziałem – nie zdążył awansować na stopień pułkownika, utonął biedak z Huraganem w nurtach Zbrucza o krok od granicy rumuńskiej.

Bękartem Układu Wersalskiego nazwano naszą Ojczyznę, która miała skonać w konwulsjach. Ludzki potwór, Władimir Mołotow, mylił się. Domniemany bękart wcale nie miał zamiaru konać. On walczył nawet wtedy, gdy został wzięty w faszystowsko-bolszewickie kleszcze.

\* \* \*

Dopiero po ponad półwieczu mogę skorygować swój dziecinny pamiętnik i z szarych komórek odtworzyć pewne zdarzenie, o którym z wiadomych przyczyn dotychczas nie mogłem ani pisać, ani mówić. Otóż po wkroczeniu Sowietów do Rokitna Wołyńskiego, 17 września, w godzinach popołudniowych w znowie z kolegami z byłej drużyny ZHP, Kaziem Dąbrowskim i Mięciem Sitkowskim, wyrwaliśmy się skradzioną drezyną kolejową w kierunku Sarn. Przed Klesowem dołączyliśmy do wycofującego się na pozycje twierdzy Straszów baonu KOP „Rokitno”. W składzie tego pododdziału, jako harcerze wolontariusze, wzięliśmy udział w walkach z bolszewikami. Donosiliśmy na stanowiska ogniowe amunicję, ładowaliśmy taśmy do cekaemów a nawet wynosiliśmy w bezpieczne miejsce rannych żołnierzy... Wtedy po raz pierwszy w życiu, jako niespełna czternastoletni szczeniak, zobaczyłem z bliska prawdziwe pole bitwy zasłane trupami naszymi i wroga. W uszach dzwoniła specyficzna muzyka. Szrapnele naśladowały lot łabędzi a pociski karabinowe lot trzmieli. Był też moment korzystania z masek przeciwgazowych, które zabraliśmy poległym, bowiem dymy prochowe utrudniały oddychanie. Do naszej trójki z Rokitna dołączyli chłopcy z Sarn, Klesowa, Włodzimierca i Antonówki tak, że stanowiliśmy wcale niemały liczebnie pluton ciurów.

Fortyfikacji w Straszowie, na obrzeżach Sarn, broniły przede wszystkim oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP). Wspierał je pociąg pancerny, którym dowodził jakiś bardzo waleczny kapitan broni pancernej WP. Później, przebywając krótko w Sarnach, dowiedziałem się od wujka Hipolita Sawickiego, legionisty, że owym pociągiem pancernym dowodził jego przyjaciel kapitan Zdzisław Rokossowski, a pułkiem KOP „Samy” podpułkownik Nikodem Sulik, późniejszy generał, dowódca 5 Kresowej Dywizji Piechoty w Armii generała Władysława Andersa.

Tymczasem, jak już wspominałem, nasz pluton wolontariuszy – powiedziałbym raczej nieposłusznych rodzicom szczeniaków – podporządkowano baonowi KOP „Rokitno”. Trafiliśmy pod komendę plutonowego Józefa Kurasia. W 1947 roku, jako samozwańczy major, pseudonim „Ogień” darował mi życie nagradzając piękną oksydowaną siódemeczką „wis”. Było to w miejscowości Osielec, na mroźnym wówczas Podhalu.

Wrócimy do walk pod Sarnami. Po dwudniowych krwawych zmaganiach, podczas których trzęsły się nam krótkie, harcurskie porcieta i po wycofaniu się pułków i batalionów KOP „Samy”, „Rokitno” i „Dawidgródka” oraz batalionów fortecznych „Małyńsk”, „Tyszycza” i „Bereźne”, w dniu 19 września pomagaliśmy polskim załogom fortecznym w Straszewie spuścić służę na rzece

Horyń i zatopić fortyfikacje Straszewskie, aby nie dostały się w łapy bolszewickie. Potem jakiś osmolony dymem bojowy major WP polecił nam wracać do swoich domów i przygotować chude tyłki pod ojcowski pasek. – Chociaż, ja bym w waszym wieku zrobił to samo chłopaki – powiedział. Prze-

szlście chrzest bojowy. – Czołem orlęta, niech was Bóg prowadzi, będziecie Polsce jeszcze potrzebni – dodał biorąc nas, każdego z osobna w swoje mocne, żołnierskie ramiona.

Po tym czułym, chociaż bez łez, jak na mężczyzn przystało pożegnaniu, koledzy moi wrócili szczęśliwie do Rokitna a ja odwiedziłem swoją babcią po kądzieli Apolonię Sawicką w Samach, by przed rodzicami mieć alibi. Nie obeszło się bez babcinej nagany, ale staruszka obiecała, że będzie mnie w razie czego kryła przed rodzicami: – przez trzy dni byleś wnusiu u mnie i razem przeżyliśmy bolszewickie bombardowanie sarnieńskiego dworca. Babcia dotrzymała słowa. O moim „kombatanckim” wyczynie, pod Samami we wrześniu 1939 roku, Mama dowiedziała się dopiero po sześciu latach wojny. Sam Jej o tym powiedziałem, już jako dwudziestolatek.

Od babci do domu wróciłem szczęśliwie 21 września. Przyznaję, że owa przygoda, bezpośredniego zetknięcia się z polem walki, w szczenięcym wieku, nie była dla mnie wówczas memento mori. Trzynastolatek nie mógł zdawać sobie sprawy, czym jest pamięć o śmierci. Moja świadomość bowiem nie sięgała aż tak głęboko w analizę spontanicznego, patriotycznego czynu obrony zagrożonej Ojczyzny.

\* \* \*

W trzy dni po moim powrocie z Sarn do Rokitna Wołyńskiego w naszym ubożuchnym mieszkaniu pojawili się umundurowani enkawudyści. Rodzice byli wtedy poza domem – ojca pochłaniała praca a Mama nad Lwą (rzeka) prała bieliznę. Siostry: jedenastoletnia Irena i dziewięcioletnia Leokadia, sprzątając podwórko wokół mieszkania, spostrzegły zbliżających się do furtki w płocie mężczyzn w szarzielonych mundurach przepasanych na krzyż rzemieniami z pistoletami w olbrzymich kaburach, które podczas marszu podskakiwały śmiesznie, uderzając ich posiadaczy w podudzia. Dziewczynki wpadły do sieni i przekrzykując się nawzajem poinformowały mnie, robiącego gilzowe papierosy (sprzedawałem je w wolnych chwilach na dworcu kolejowym, aby mieć parę czerwoców na kromkę chleba. Zastępowałem tygodniami nieobecnego Ojca), że idą do nas jacyś dwaj krasnoarmiejcy. W chwilę potem staliśmy naprzeciwko siebie mierząc się wzrokiem. Ja, bosonogi, obdarty, bezbronny gówniarz i oni, czerwonogwiezdni w dobrze dopasowanych mundurach, w błyszczących butach kierzowych z cholewami, odkarmieni i butni... Bolszewicy wchodząc do naszego mieszkania potknęli się o wysoki próg. Wtedy jeden z nich szpetnie zaklął po rosyjsku – job twaju mat'. Stali w czapach z niebieskimi otokami mierząc mnie, to znów tulące się do mnie siostrzyczki złym wzrokiem. Po chwili konsternacji i męczącego dla obu stron milczenia, jeden z nich, chyba starszy rangą, miał na wyłogach kołnierza munduru trzy kubiki, powiedział po rosyjsku – „eto siemia i tu padło nasze nazwisko...” Da – odpowiedziałem też w tym języku. – „A gdzie wasz otiec, ili mat'?” – Otiec na wajnie, biot Giermańca, a mat' nad rekoj, bilio pachajet – odpowiedziałem. Enkawudysta, zdumiony zapewne moim rosyjskim powiedział: – „Pajdiosz s nami malczyk, sobirajs”. Zrobiłem krok ku wyjściu, ale siostrzyczki uderzyły w płacz i zagroziły mi drogę. – Uspokójcie się ptaszynki – powiedziałem – ci panowie nie mogą mi nic zrobić, bo niczego nie przeszkrobałem. W duchu pomyślałem sobie – „gdybyście dranie wiedzieli, to stryczek by mnie nie ominął...” Bolszewicy brutalnie odsunęli ode mnie obie dziewczynki, młodszy rangą wyciągnął z kabury nagan i wyprowadzając mnie pod nim z mieszkania warknął: – „stupaj wpierod, no nie udiraj, sliszkom ubiju kak sobaku”.

Szedłem przodem pod bolszewickim pistoletem i byłem przekonany, że to koniec mego nędznego żywota, że już wkrótce mnie rozwalą. Bałem się, cholera nawet mocno, ale najbardziej chyba komendy w języku rosyjskim – agoń! To ciekawe, że nie bałem się śmierci, a właśnie tej komendy, krótkiej przecież, jak moje dotychczasowe życie. – „A może jej w ogóle – tej komendy – nie będzie? Rozwalany, jak niosły wieści, nie słyszy wystrzału.

Ktoś musiał zdradzić. Może tego kogoś mocno torturowano? I powiedział o moim jakimś tam udziale w obronie fortyfikacji straszewskich – myślałem. Ale kto? Mietek? Kazik? Nie, to niemożliwe. To twardzi chłopcy. Oni by tego nie zrobili.

Szedłem jak skazaniec na miejsce kaźni potykając się bosymi nogami o drewniane trotuary kładek brudnego, kresowego miasteczka, które przed sześcioma laty przyjęło mnie, chłopca z wołyńskiego chutoru w swoje wcale nie gościnne progi. Tam, wcześniej w chinoczniańskim majątku Podhorskich czułem się wolny i rozbrykany, jak niejeden rumak z ich godnej podziwu, bogatej stadniny. Dzisiaj najeżdźcy w szarych, długich szynelach z czerwonymi gwiazdami na spiczastych budionkach, „wyzwoliciele uciskanych przez pańską Polskę braci ukraińskich”, mieli rozwalić jeszcze jednego gówniarza, to znaczy mnie. Kim dla nich byłem – głodny, obdarty i bezbronny? Mój nędzny wygląd mówił sam za siebie. Przecież w niczym nie przypominałem burżuja, „pana polskiego”. A może bolszewickie macki agenturalne dogrzebały się do genealogicznego drzewa moich ojców? Może w małym parafialnym kościółku Włodzimierca znaleźli mój akt chrztu, na którym widniał również podpis jednego z moich ojców chrzestnych – pułkownika (późniejszego generała) inżyniera Zygmunta Pod-

horskiego? Wolontariusza z 9 Nadbużańskiego Pułku Ułanów Rosyjskich, jeszcze za caratu. A przecież bolszewicy cara nienawidzili.

Powłócząc w zamyśleniu nogami, w połowie drogi do komendantury NKWD w Rokitnie, nadziałem się na zardzewiały gwóźdź wystający z chodnika i rozkrwawiłem sobie duży paluch u nogi. Zaciskając zęby, krwawiąc obficie, zacząłem utykać. Eskortujący mnie enkawudyści polecieli bym usiadł w przydrożnym rowie. A kiedy to uczyniłem, ten starszy rangą podał mi jednorazowy opatrunek żołnierski. Udałem, że nie wiem jak się nim posługiwać. Wtedy ten z pistoletem włożył broń do kabury i sam opatrzył mi nogę. Był to niewątpliwie ludzki odruch z ich strony. Wtedy gdy wstawałem z rowu enkawudysta dobył ponownie broni i stało się coś niespodziewanego. Między nas wpadła jak bomba, spocona, z rozwianym włosom moja Mama, poleszuczka, urodzona w Pińsku, władająca biegle językiem rosyjskim. Teraz, dygocąc na całym ciecie, złapała mnie w swoje ramiona i tuląc do siebie jak tylko potrafi Matka, szeptała płaczącym głosem: – co ci się stało? Dokąd ci zbóje cię prowadzą? Co z twoją nogą? Ty mocno krwawisz. Uciekałeś? Oni strzelali?

– Mamo, nic mi nie jest. Ja sam się skaleczyłem. To nic groźnego. Oni nic mi nie zrobili. Ot, po prostu zabrali z domu i gdzieś prowadzą. Starszy rangą enkawudysta przerwał naszą paplaninę i domyśliwszy się, że kobieta ściskająca mnie jest moją matką powiedział: – „Wy etowo rebionka mat', da?” – Da, sowierszenno, ja mat' – powiedziała szybko z dobrym akcentem rosyjskim Mama. – „Wy pajdiotie snami, a malczyk puskaj bieżył' domoj, on swobodnyj” – powiedział starszy rangą enkawudysta, a młodszy skierował swój olbrzymi nagan w plecy mojej Mamy i warknął – „szagom marsz!”.

Mama w asyście dwóch enkawudystów z lufą bolszewickiego nagana pod żebrami szła wcale nie zrezygnowana, bo coś tam trajkotała po rosyjsku i gestykulowała. Widziałem to, bo szedłem za ową dziwną trójką w odległości około stu metrów.

Po niedługim czasie aresztowana kobieta i jej dwaj eskortanci dotarli do miejsca postoju rokitniańskiego NKWD. Brama zamknęła się za nimi. Wartownik pozostający na zewnątrz z długim karabinem na ramieniu i jeszcze dłuższym bagnetem, postawionym na sztorc, przechadzał się tam i z powrotem przed bardzo ponurym budynkiem otoczonym zewsząd zasiekami z drutu kolczastego.

Nie wykonałem polecenia enkawudysty i nie wróciłem do domu. Teraz w odległości trzydziestu, pięćdziesięciu metrów przycupnąłem w rowie i zatrwożony czekałem na dalszy ciąg wydarzeń, w które weszła moja rodzicielka. Byłem więcej niż pewny, że nie o mnie chodziło, że bolszewicy nic nie wiedzą o mojej małej wojnie z nimi, pod Samami, przed kilkoma dniami i że byłem tylko chwilowym zakładnikiem. Ale Mama? Za co ją aresztowali? Czyżby bawiła się po kryjomu w jakąś politykę? O Boże, myślałem, co jej grozi?

Czas koszmarnego wręcz oczekiwania trwał. Byłem coraz bardziej chory ze zdenerwowania i bólu, okaleczony palec zaczął dokuczać. Nie mając zegarka śledziłem przesuwające się po bezchmurnym, wrześnieym niebie słońce. Zbliżało się powoli, majestatycznie do rysującego się w oddali lasu. Wtedy, gdy ognista kula dająca ciepło życia całemu układowi słonecznemu, w tym i naszej planecie, miała dotknąć linii widocznych w oddali drzew, usłyszałem skrzypnięcie żelaznej furty w ogrodzeniu enkawudystowskiej twierdzy. W sekundę potem ujrzałem swoją Matulę biegnącą w moim kierunku. Na jej plecach dyndał, podskakując jakiś worek. Kiedy zrównaliśmy się Mama zwołniła nieco kroku i powiedziała – Już po wszystkim synku. Nic się nie stało. Najedliśmy się trochę strachu. To nasza sąsiadka, pani Jadwiga F. (nie zdradzę nazwiska, bowiem cała rodzina F. przeżyła wojnę i spotkaliśmy się w 1946 roku na wrocławskim dworcu. Wtedy pani Jadwiga przeprosiła Mamę za wyrządzoną jej krzywdę, donosząc na nią do bolszewików) napisała na mnie donos. Pisała, że zabijałam płód u ciężarnych kobiet pochodzenia ukraińskiego. Za co inkasowałam zapłatę w naturze to jest masło, Sery, jaja itp. rzeczy. Podała nazwiska kilku Ukrainek, które podczas konfrontacji zaprzeczyły, że jakoby na nich dokonywałam jakichś zabiegów. Dostanie baba w tyłek od tych zbójców czerwonych za wprowadzenie ich w błąd. Nie chciałabym być teraz w jej skórze. Bolszewicy – mimo, że początkowo bardzo się na mnie srożyli i straszili rastrełom gadziny (rozstrzelaniem żmii) – po wspomnianej konfrontacji zmiękli, a dowiedziawszy się, że tata jest tylko robotnikiem kolejowym i że często przymieramy głodem, dali parę kilogramów mąki gryczanej na bliny – jak powiedzieli.

– Mamo! – wpadłem w słowa – i wzięłaś tę jałmużnę od naszych prześladowców, od naszych wrogów?

– A cóż miałam zrobić synku? Przecież nasza spiżarnia, oprócz skromnych zapasów z runa leśnego świeci pustkami. Minie jesień i przyjdzie głodna i mroźna zima, co wtedy. Ojca zarobki i twoje grosiki za sprzedane papierosy nie starczą nawet na chleb. Słyszałam, że sowioci zamierzają niebawem wprowadzić czerwonce. Złotówki staną się złomem. Jeżeli masz synku jakieś zaskórniaki, za sprzedane fajki, to szybko zamień je na coś użytecznego, wartościowego. Kup sobie buty. Dobrze, że Bóg dał nam w tym roku piękne, urodzajne w runo leśne lato, a i jesień zapowiada się cudowna. A to oznacza bogatszą na zimę spiżarnię.

W domu – ku wielkiej radości siostrzyczek z mego szczęśliwego powrotu, chociaż nie bez uszczerbku na ciecie, bo z rozwalonym paluchem u nogi, mama uraczyła wygłodniałą rodzinę

zacierkami z mąki gryczanej, jałmużną bolszewicką. Ja nie mogłem jej przełknąć. Wymówiłem się bólem palca, do którego Irenka przyłożyła mi liść popularnej babki, zerwanej na łące. Obserwując rodzinę jak pałaszowała gryczaną papaję na wodzie z rozrzedzonym mlekiem od krówki księdza proboszcza, przypomniałem sobie straszewskie pobojozostawstwo zasłane trupami polskich KOP-istów poległych w obronie Sarn. Jakże ciężko żyć ze swoją dziecinną tajemnicą nawet pośród najbliższych.

\* \* \*

Tymczasem w Rokitnie Wołyńskim na dobre „usadowili” się bolszewicy. Ksiądz dobrodziej częściowo się mylił. Na razie kościół, cerkiew ba, synagoga żydowska pozostały nietknięte. Zostaną zniszczone przez czerwonych Hunów 22 czerwca 1941 roku podczas ucieczki przed brunatnymi Hunami.

Na razie w domach bożych odprawiano msze, dawano śluby a na cmentarzach chowano zmarłych. Dla nielicznych rodzin powiało ze Wschodu sytością chleba. Tak mawiali cichaczem niektórzy rokitnianie. Mieli na myśli członków Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (KPZU). Natomiast większość mieszkańców Rokitna pada ofiarą krzywdzących podejrzeń. Wielu, już w zimie, a była na przełomie trzydziestego dziewiątego na czterdziesty sroga, zsyła się na Sybir. Często sąsiedzkie scysje, drobne konflikty o kawałek miedzy, o złapane bydło w szkodzie, wylamany ząb w pożyczonych grabiach, są powodem deportacji na białe niedźwiedzie. Były to drobne preteksty pod płaszczykiem politycznym. Mniemam, że bolszewicy to też okupanci i to krwawi. Moje racje, niespełna czternastolatka, po latach potwierdzi historia mroźnych deportacji Polaków do stalinowskich łagrów i Zbrodnie Katyńska.

Mojej rodzinie nie żyje się dostatnio. Dla bolszewików ojciec był eksarystokratą, i bratem szpiega<sup>1</sup>. Po dwukrotnym aresztowaniu i dotkliwym pobiciu przez zbirów NKWD, dali ojcu spokój. Nadal pracował na kolei. Ja – ponieważ polską szkołę zamknęli a do ukraińskiej nie miałem ochoty uczyć się – stałem się najemnym, młodocianym robotnikiem w hucie szkła „yitrum”, na kolei, w prywatnej piekarni Pohla, a następnie pracowałem jako goniec w Lespromochozie (Biuro Ekportacji Lasów). Dzień podobny był do dnia: ranne wstawanie, ciężka ponad siły praca, a po niej krótki sen. Czasem zasypiałem nawet na siedząco z kawałkiem chleba w ustach.

I tak w okowach mrozu, który jak wspaniały malarz zapacykował w naszej ruderze okna, a jego zimny brat, śnieg, sięgał słomianej strzechy, nastąpiły święta Bożego Narodzenia. Opatrzność chyba sprawiła, że były one dla naszej rodziny względnie syte. Drzewko – jak pamiętam – sięgało sufitu. Była to ponad dwumetrowej wysokości prawdziwa pachnąca sosna, którą po kryjomu, ale za wiedzą gajowego, pana Stanisława Zawady, przytaszczyliśmy z tatą w nocy z pobliskiego lasu. Ksiądz dobrodziej zadbał abyśmy mieli nie tylko jego błogosławieństwo, opłatek, ale dał nam spory koszt rajskich jabłuszek. Jabłka owe pochodziły z jabłonki, o którą w swoim skromnym sadzie dbał szczególnie. Ba, dzieciarnia z rodzin katolickich w Rokitnie znała na pamięć piękną bajkę o rajskiej jabłoni, którą kapłan opowiadał chodząc od chaty do chaty po corocznej koledzie. Owym rajskim drzewkiem z bajki była właśnie księżowska jabłoń, która co roku w Wigilię Bożego Narodzenia rodziła jedno dorodne, złote jabłko. Owe zaczarowane, złote jabłuszko ksiądz składał co roku w darze małemu Jezuskowi w Jego małym żłobku przy głównym ołtarzu rokitniańskiego kościoła. Przyznam, że większość maluchów wierzyła w prawdziwość tego co nam opowiadał nasz proboszcz. Moje obie siostry nawet się bożyły (ukr. Przy sięgały), że widziały te jabłuszka podczas kolejnych pasterek. Ja mimo wszystko wierzyłem, że była to bajka dla grzecznych dzieci, ale tylko dla grzecznych.

Teraz nasza pierwsza okupacyjna choinka była przystrojona w księżowskie czerwone jabłuszka, pajacyki słomiane, aniołeczki z cieniutkiego drutu, owiniętego misternie białą watą, w różnokolorowe papierowe łańcuszki i dziesiątki innych zabawek wykonanych ze słomy i papieru przez Mamę, mistrzynię w robieniu z niczego coś. Wierzchołek choinki przyozdobiłem szklaną gwiazdą betlejemską, prezentem od Wojtka Skowrona, przyjaciela z huty „Vitrum”. Była piękna. Miała aż sześć kolorów: złota, srebra, czerwieni, granatu, żółci i zieleni mieniących się nawet przy słabym odbiciu światła naszej lampy naftowej.

Na skromnym stole wigilijnym, zasłanym pachnącym siankiem i przykrytym śnieżnobiałym, lnianym obrusem, królowały różnego rodzaju potrawy z grzybów (kapusta, uszka, rysze solone)

---

<sup>1</sup> Stryjek Ignacy, ojca starszy brat, został rozstrzelany przez NKWD w 1938 roku. Był prawdopodobnie oficerem polskiego wywiadu działającym z osobistego polecenia Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, jako agent w Armii Czerwonej, już od 1920 roku. Rodzinę jego, żonę i syna Henryka, zesłano do kopalni Warkuty, gdzie zmarli z głodu i wycieńczenia. Informację tę uzyskałem pod koniec lat 60-tych od gen. płk. Gietmana, ówczesnego szefa radzieckiego DOSAFU (odpowiednik naszej LOK i pisarza Emila Kardina, autora m.in. książki pt. „Skolko dljatsja połowieka”

pochodzących z naszych zbierackich zapasów minionego lata i dostatek chleba. To już była moja zasługa, byłem przecież między innymi chłopcem piekarskim.

Mama, dzięki swojej zapobiegliwości dostała od jakiejś dobrodusznej Ukrainki sporą garść maku, z którego zrobiła kutię – przysmak nas wszystkich. Ja również zrobiłem całej rodzinie niespodziankę. Za pieniądze ze sprzedanych papierosów, jeszcze za złotówki – tuż przed samą wymianą złotówki na ukraińskie czerwonce – kupiłem wszystkim skromne, gwiazdkowe prezenty. Tata dostał ćwiarteczkę oryginalnej polskiej wódki firmy Baczyńskich z białą główką. Mama, kosmetyczkę i krem Nivea, który bardzo cenila, a obie siostrzyczki po sześć chusteczek do nosa, aby się mniej smarkały.

W chwili, gdy Ojciec wstał i, jako głowa rodziny, sięgnął po opłatek, aby się z nami przełamać, ktoś zaskrobał do zamrażanego okna. W mieszkaniu zapanowała grobowa cisza. Za oknem czyjeś skrzypiące na mrozie kroki zaczęły okrążyć naszą zasypaną po strzechę rudere, aż dotarły do drzwi wejściowych. Mama wyskoczyła przed próg i za chwilę wróciła prowadząc pod rękę swojego jedyne go brata a naszego oczywiście wuja, Hipolita Sawickiego. Dowiedzieliśmy się od niego, że od wkroczenia bolszewików na nasze rodzinne tereny ukrywał się. Był wszakże piłsudczykiem odznaczonym za udział w wojnie 1920 roku Orderem Virtuti Militari. Wujenkę Wiesławę i starszego syna Waldemara, wysłał do Białegostoku, na tak zwane przechowanie do siostry Jadwigi Wysockiej (nasza ciotka), a dwóch najmłodszych synów, Karola i Wacława ukrywała babcia Apolonia. Wuj zmienił swoją tożsamość Sawickiego na Konrada Sawicza i po Nowym Roku zamierzał wyjechać do miejscowości Łapy, gdzie szwagier, Leon Wysocki, załatwiał mu pracę w parowozowni kolejowej, teraz, za bolszewika, zwanej depo.

Dorośli wiedli tajemne rozmowy, chociaż jakie tam tajemne, skoro nasza trójka słuchała ich aż do Pasterki. Wtedy i Ojciec nie pozostał dłużny i opowiedział wujowi o swoich aresztowaniach przez NKWD. Podczas przesłuchań był torturowany w sposób iście wymyślny. Nagiego oprawcy kładli na betonie, przykrywali go szeroką deską, którą następnie okładano młotami. Była to tak zwana obróbka deski, pod którą ludzkie ciało, a szczególnie organy wewnętrzne: wątroba, śledziona, nerki, jelita były dosłownie objane jak kotlet schabowy przed rzuceniem na patelnię. Innym razem jądra ojca wciskano pomiędzy dwie dyby i ścisano śrubami aż do omdlenia. Ojciec jednak jest twardym człowiekiem, nie wydał wuja legionisty, a o swoim bracie Ignacym też niewiele powiedział. O rodzinie Podhorskich wyrażał się jak o swoich pryncypałach.. Bolszewiczkę tortury na moim ojcu spowodowały, że stracił on w ogóle mowę, a kiedy ją odzyskał, po kilku tygodniach, został dożgonnym kaleką, jąkałą.

O północy rodzice z wujem, zarożniętym jak prawosławny pop, udali się na pasterkę. My dzieci, z braku ciepłego odzienia, zostaliśmy w domu. Mróz na dworze był trzaskający, poniżej 25 stopni Celsjusza. W mieszkaniu naszym był typowy rosyjski piec. Na nim to rodzice zrobili nam wygodne, ciepłe posłanie. Na prośbę sióstr zagrałem na ustnej harmonijce ulubioną koledę Lulaj że Jezuniu, a potem przy akompaniamencie huczących w piecu pni brzozowych pokleily nam się oczy.

\* \* \*

Zima roku czterdziestego była mroźna i śnieżna. Nasza rodzina – sądzę, że nie tylko – walczyła o przetrwanie. Żyliśmy z dnia na dzień o głodzie i chłodzie. Biedny Tata poodmrażał ręce i nogi, a nawet wystające części twarzy: uszy i nos. Przez całą zimę jeździł pługiem kolejowym odśnieżając zasypane przez zamiecie śnieżne tory. Odmrożenia Taty leczyliśmy okładami z kiszanej kapusty. Nie wiem czy skutecznie?

Moje codzienne wędrówki do pracy w ciepłej na szczęście piekarni pana Pohla miały w sobie coś z tragikomedii. Nie mając w ogóle żadnych butów owijałem nogi grubo szmatami i wsuwałem w dziurawe, rozczłapane kalosze ojca. Po przebiegnięciu do miejsca pracy ściągałem swoje pseudo-obuwie i po piekarni biegałem boso. Często na bosaka wyskakiwałem na zewnątrz po drzewo i wodę i, o dziwo, przez całą zimę nie złapałem nawet kataru. Majstrowie i właściciel piekarni przezwali mnie Tadzikiem-bosiakiem. Nie obrażałem się na nich, broń Boże. Przewisko to pasowało do mnie. Byłem przecież bosi, ale w ostrogach – aluzja do mego drzewa genealogicznego.

W połowie lutego, miesiąca w naszych stronach cholernie zimnego, na Rokitno Wołyńskie spadło wielkie nieszczęście. Czerwone diabły w długich, szarych szynelach i ich kolesie w skórzanych kurtkach z ogromnymi naganami na pasach, zaczęli wywózkę rokitnian na Syberię. Zagarniano całe rodziny Polaków. Najczęściej były to rodziny pozbawione ojców, synów i braci, którzy we wrześniu 39 roku poszli na wojnę i z niej nie wrócili. Bolszewicy mścili się teraz na rodzinach poległych w walce z nimi polskich patriotach. Zemsta czerwonych sięgała również rodzin, których ojcowie, synowie i bracia wzięci w dwa ognie, hitlerowski i bolszewicki, stali się jeńcami i więźniami NKWD.

Ludzi skazanych na deportację budzono z zaskoczenia w mroźne poranki dając im niewiele czasu na ubranie się i spakowanie. Najczęściej był to kwadrans, a przy „litościwych bojach” pół godziny. Drżące z zimna i ze strachu rodziny polskie, bardzo często wielodzietne, dostarczano na dworzec

szerokotorowy (w Rokitnie był również dworzec wąskotorowy) zarekwirowanymi saniami i tam ładowano do bydłych wagonów, tak zwanych ciepłuszek, najczęściej po trzydzieści, czterdzieści osób do wagonu.

Ten straszliwy los dotknął między innymi rodziny Boguckich, Dobrowolskich, Kozłowskich, Zawadów i innych. Juniorzy: Kazio Bogucki i Leszek Dobrowolski byli moimi rówieśnikami z powszechniaka. Senior Stanisław Zawada, były gajowy w państwowych lasach rokitniańskich, był człowiekiem o gołym sercu. Na jego oczach, latami, biedacy brali z lasu drzewo a on udawał, że nie widzi.

Teraz państwo Zawadowie z ośmiorgiem dzieci musieli zostawić bolszewikom dorobek swego życia: dom, konie i bydłatka i własnymi saniami przybyć na dworzec, do miejsca swego przeznaczenia. Tu zapakowano ich jak śledzie w beczce do bydłego wagonu.

Mój Tata, straszliwie jękając się ze zdenerwowania, opowiadał pewnego wieczoru, gdy cała rodzina już spała o tragedii deportowanych, był bowiem świadkiem tego zdarzenia. Na bocznicy dworca rokitniańskiego w zadrutowanych bydłych wagonach, na trzydziestostopniowym mrozie, dorośli modlili się głośno śpiewając

Pod Twoją Obronę, a dzieci zanosily się płaczem. – Synu, to była istna Sodoma i Gomora, oby los nam tego oszczędził.

Bolszewickie deportacje rokitnian powtórzyły się potem jeszcze trzykrotnie: w kwietniu i czerwcu czterdziestego roku oraz w czerwcu czterdziestego pierwszego. W tej ostatniej wywózce była na liście nasza rodzina. Do akcji wkroczyła wtedy Mama, zadziorna poleszuczka i wieki całe nie dowiedziałem się w jaki sposób ocalała nas, być może, przed biologiczną zagładą. Po latach powiedziała mi tylko, że zakładnikiem był Ojciec, który zgłosił się dobrowolnie do NKWD. Podczas czerwcowego transportu uciekł pod Szepetówkę i przedostał się do Kiwerc, gdzie mieszkali państwo Maria i Antoni Kafarscy, krewni Mamy po mieczu. W parę dni potem na tereny Wołynia wkroczyli brunatni Hunowie, ale to miało dopiero nastąpić.

\* \* \*

Cały rok czterdziesty spędzony pod okupacją sowiecką nie poczynił dzięki Bogu żadnych wyrw biologicznych wśród najbliższych. Natomiast z Sarn nadeszła hiobowa wieść. Tam bolszewicy wpadli na ślad wuja, Stanisława Piętaka, byłego budowniczego umocnień fortyfikacyjnych w Straszewie pod Sarnami i natychmiast go rozstrzelali. W parę miesięcy po egzekucji wujka zmarła ze zgryzoty ciotka Maryla, osierocając jedyne dziecko nieszczęśliwego małżeństwa, małą Terenię<sup>1</sup>. Dzieckiem zaopiekowała się babcia Apolonia. Miała ona teraz na swojej siwej głowie aż pięcioro wnuków, w tym troje sierot: Eleonorę i Bohdana, po najmłodszej córce Felicji zmarłej w wieku dwudziestu siedmiu lat, wspomnianą już Terenię oraz Karola i Wacława, synów ukrywającego się przed bolszewikami syna Hipolita.

Nędza u babci musiała być niesamowita. Bolszewicy głosili zasadę i konsekwentnie jej przestrzegali: kto nie rabotajet, tot nie kuszajet (kto nie pracuje, ten zdycha z głodu). Sądzę, że najbardziej pomagał babci jedyny syn, Hipolit, szczęśliwie ukrywający się w Łapach i ojciec dwojga dzieci zmarłej Felicji, Zbigniew Miller, straszliwy obieżyświat, ale kochający swoje dzieci, chociaż na odległość. O tajemniczym wujku Zbigniewie, wziętym artyście malarzu, wiedziałem niewiele, ani gdzie przebywał, ani co robił. Jedyne babcia do wybuchu wojny regularnie otrzymywała, co miesiąc, jakieś pieniądze a teraz – od czasu do czasu. Ubóstwiany zięciulek Zbyszko o mamunię, jak ją zwykł niegdyś nazywać, i o swoich bękarciakach nie zapominał. Prosząc zapewne o nie ujawnianie nikomu jego kryjówek. Babcia była dyskretna, co wychodziło na dobre nie tylko całej rodzinie Sawickich, ale i rodzinom spowinowaconym, to znaczy nam w Rokitnie i Wysockim w Białymstoku.

Wróćmy do Rokitna. W czerwcu bolszewicy zabrali panu Pohlowi piekarnię. Ja straciłem pracę chłopca piekarskiego. Zatrudniłem się w „Lespromchozie” za gońca. Musiałem podjąć naukę w szkole ukraińskiej. Był to warunek mego zatrudnienia. I tak nauka i praca, nawet na dwóch etatach, bo i w hucie „Vitrum” wieczorami pracowałem przy hartowaniu szkła, pochłaniały bez reszty cały wolny czas czternastolatka. Jedyne w niedzielę, której na szczęście bolszewicy nam jeszcze nie zabrali, po przyjeździe rodziniki z kościółka szliśmy do lasu na jagody lub grzyby, robiąc zapasy na srogą zimę. Były jeszcze kochane książki. Henryk Sienkiewicz, a szczególnie trylogia, była dla mnie magnechem, ba, narkotykiem. Musiałem codziennie, chociaż przez pół godziny, poobcować z pułkownikami: Michałem Jerzym Wołodjowskim, Stanisławem Skrzetuskim, Andrzejem Kmicicem i szalawilą, Onufrym Zagłobą. Trylogią zachwyciłem się zresztą po raz trzeci w swym krótkim życiu. Świat opisywany przez mistrza Sienkiewicza odmieniał mój świat. Przystawałem myśleć o głodzie, strachu i poniżeniu, którym

<sup>1</sup> Teresa Pleskot, aktualnie mieszka w Rejowcu. Miała dwóch synów: Marka i Wojciecha. Obaj założyli swoje rodziny



częstowali nas na każdym kroku bolszewicy najeźdźcy i ukraińscy nacjonaści, wyzywając od proklatych Lachiw. Czytając Sienkiewicza stawałem się dumny, że jestem Polakiem i na obelgi swoich prześladowców odpowiadałem jednym gestem – prostowałem drobną posturę.

\* \* \*

Przeminęło lato i złota polska jesień tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Pewnego późnego, zimowego wieczoru, po wyczerpującej harówce w hucie szkła, drzemiąc, podsłuchałem niechęcą Rozmowę rodziców o tym jak bolszewicy zagłodzili na śmierć kilka wagonów bydłych polskich żołnierzy, wziętych prawdopodobnie do niewoli we wrześniu 1939-go roku.

Ojciec opowiadał Mamie jak odśnieżając pługiem kolejowym, zimą czterdziestego roku, okolice miejscowości Dąbrowica-Kołki (Puszcza Dąbrowicka) odnalazł na bocznicie kolejowej w lesie owe wagony – trumny pełne zamrożonych na kość ludzkich szkieletów. Nieszczęśliwcy byli w resztkach polskich, wojskowych mundurów, ale bosy. Tata podejrzewał, że albo bolszewicy zdjęli obuwie swoim ofiarom jeszcze przed śmiercią, albo zrobili to miejscowi robotnicy leśni, różnego autoramentu smolarze, pochodzenia ukraińskiego, już po śmierci, odkrywając przypadkowo masową zbrodnię sowieców na Polakach.

Na liczne pytania Mamy: – Czy ktoś, oprócz Ojca i maszynisty, pana Kossakowskiego, widział ową masową zbrodnię? Co zrobiono ze zwłokami? Pochowano je, czy spalono? – Ojciec, zacinając się, jak zwykle nerwowo, mówił: – Helenko! Postanowiliśmy z Kossakowskim, dla bezpieczeństwa naszych rodzin, milczeć, na razie. Sama wiesz, jakie konsekwencje groziłyby nam, gdyby sowieci coś zwąchali. – W parę miesięcy potem, naprawiając latem most na Koryniu, koło Dąbrowicy – mówił Tata – wybrałem się samotnie na to straszne miejsce. Wagonów-trumien już tam nie było. Na nasypie kolejowym bocznicie znalazłem dwa wojskowe orzelki i kilka metalowych odznak pułkowych, m.in. 52 i 84 pułk piechoty. Sądzę, że Puszcza Dąbrowicka w okolicach Horynia, jego doliny, długo będzie zapomnianym cmentarzem żołnierzy Września, bestialsko zamordowanych przez siepaczy NKWD – powiedział Tata, kończąc swoją przerażającą opowieść. A ja, niespełna piętnastoletni gówniarz, stałem się przypadkowo, oczywiście bez wiedzy rodziców, świadkiem, nazwijmy to biernym, straszliwej, ojcowskiej tajemnicy<sup>1</sup>.

Po świętach Bożego Narodzenia, które w porównaniu z pierwszymi świętami spędzonymi pod sowiecką okupacją (opisałem już je wyżej) były przeraźliwie głodne i chłodne, bez choinki i rajskich jabłuszek księdza proboszcza (bolszewicy czołgiem przejechali po sadzie plebana, a na drodze była owa bajkowa jabłoń), Micio Sitkowski przyniósł smutną wiadomość o naszym byłym nauczycielu matematyki i wychowania fizycznego z powszechniaka, panu Tadeuszu Strzeleckim. Ów nauczyciel, zresztą bardzo przez nas lubiany, harcemistrz Chorągwi im. Marszałka Józefa Piłsudskiego i opiekun Wilczków, do których i ja wcześniej należałem, był do września 1939 roku właścicielem jedyne w Rokitnie kina Światowid. Jako podporucznik rezerwy poszedł na wojnę i ślad po nim zaginął. Teraz mój szkolny kolega z wypadu na małą z bolszewikami wojnę pod Straszew, szeptem poinformował rodziców i mnie, że znaleziono zwłoki pana Strzeleckiego w jego kinie, które od września 1939 roku było własnością bolszewickich pobratymców, Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (KPZU).

Po Rokitnie od kilku dni krążą plotki, że porucznik Strzelecki, uczestnik ostatniej bitwy Września pod Kockiem, po kapitulacji Grupy Operacyjnej Polesie generała Franciszka Kleeberga, przedarł się przez kordon wojsk sowieckich do Rokitna Wołyńskiego i tu się ukrywał, organizując polski ruch oporu przeciw sowieciom. Rokitnianie sądzą, że schronienia udzielił mu głównie jego niedoszły teść, pan Witalij Stankewycz. Do wojny trzydziestego dziewiątego przystojny harcemistrz i piękna Ukrainka Lena Stankewycz mieli się ku sobie. Widywano ich razem nie tylko podczas leśnych spacerów, ale i w kinie, jak również w kościele i cerkwi na nabożeństwach. Młodzi, piękni ludzie, nie kryli się ze swoją miłością. Ukazywali małemu, kresowemu miasteczku na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej, że prawdziwej miłości nie należy się nigdzie wstydzić.

Nigdy nie dowiedziałem się jakie były okoliczności śmierci mego nauczyciela i imiennika. Popelnił samobójstwo czy został zamordowany? Pięknej Leny Stankewycz już od wybuchu wojny polsko-niemieckiej też nikt w Rokitnie nie widział.

Dwudziestego czerwca roku czterdziestego pierwszego nad moją rodziną zawisło smutne fatum pożegnania z Ojcem. Mamie i mnie powiedział, że oddaje się dobrowolnie w łapy NKWD, aby uchronić nas wszystkich przed wywózką na Sybir. – Nie bójcie się o mnie, przy pierwszej lepszej okazji im

<sup>1</sup> Przed sześcioma laty (27.08.1992 roku) redaktorowi naczelnemu Wojskowego Przeglądu Historycznego, płk. dr. Markowi Tarczyńskiemu, dostarczyłem 22-stronicowy materiał o zbrodni sowieców w Dolinie Horynia na Wołyniu. Materiał przepadł. Wyrzucono go prawdopodobnie do kosza, nie informując autora. Arogancja i nieuczciwość pana pułkownika, „naukowca”, doprowadziły mnie do pierwszego zawału serca.

zwięźle. Mam pewne plany, których nie mogę wam zdradzić – powiedział Tata, biorąc Mamę i mnie w ramiona. Siostrzyczkom oznajmił, kłamiąc, że jedzie budować most na rzece Słucz i że wróci dopiero pod koniec lata.

W dwa dni później, dwudziestego drugiego, wczesnym rankiem w Rokitnie rozpętało się istne piekło. W ciągu kwadransa bolszewicy wysadzili w powietrze najważniejsze obiekty miasta: oba dworce kolejowe, kościół rzymsko-katolicki, cerkiew i synagogę, część huty szkła „Vitrum” i most na rzece Lwie.

Bolszewicy uciekając z Rokitna bez walki przed hitlerowskimi wojskami – tak niedawno jeszcze swoimi sojusznikami do mordowania nas, Polaków – zabrali ze sobą kilkudziesięciu rokitnian, a wśród nich mego rodzica. Ojca Opatrzność pozwoli mi ujrzeć pewnej mroźnej nocy pod okupacją niemiecką, podczas której będę bliski samobójstwa, a może i rodzinobójstwa. Ale o tym potem.

## Swastyka nad Rokitnem Wołyńskim

Dzień wstawał pogodny, słoneczny, dzwoniący skowronimi trelami – pisze mój ogryzek chemicznego ołówka w kajeciku – dzienniczku. Był to drugi dzionek lata 1941 roku. Ileż to istot bożych urodziło się tego dnia na naszej Matce Ziemi? A ileż to dorodnych mężczyzn i pięknych kobiet miało tego dnia zamienić się w proch? – „Och roku mój, prowadzisz nas w bój” – napisze być może drętwiejąca ręka rannego poety. Tak jak w pożółkłych kartkach więziennego zeszytu skreślono słowa – „Człowiek to brzmi dumnie – pisał Maksym – a tu cię leją w mordę i krzyczą skurwysyn” (Wł. Broniewski). Oj bili i nie tylko w mordę i swoi i wrogowie. I długo bili: mnie, Wojtka Skowrona, pokręconego Moska Giejsztera. Bili, kto chciał, a jak nie chciał, to musiał. Słabszych można bić, prawda??? Ludzie zawsze będą się bić o piękne kobiety, o lepsze samochody, mieszkania, ubiory. Przez zawiść. Na razie Hitler kazał swoim żołdakom zabijać (a nie bić, to przecież różnica) Austriaków, Czechów, Polaków, Francuzów a teraz, od dwudziestego drugiego czerwca, Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. Tych samych Rosjan, którzy przed dwudziestoma dwoma miesiącami na rozkaz bafki Stalina w zbrodniczy sposób wbili nam, Polakom, nóż w plecy, dokonując kolejnego rozbioru Polski. Stalin i Hitler, dwaj godni siebie zbrodniarze, rozpoczęli zagładę milionów swoich ludzi.

\* \* \*

Szli czwórkami, a może trójkami, jak na defiladzie. Butni, złowrodzy, krwiożerczy. Szli jak taran, jak walec drogowy. Pedantyczni, okrutni. Witani solą i chlebem przez ukraińskich nacjonalistów – jednak po słowiańsku. Tak jeszcze niedawno ci sami „witacze” wynosili chleb i sól czerwonogwiezdnym bolszewikom znad Donu, Charkowa, Odessy, Moskwy i dalekiego Archangielska.

Dzisiaj dawano słowiański chleb, złocisty, pachnący liśćmi dębowymi mordercom znad Renu, faszystom spod Berlina, znad Łaby i Zagłębia Ruhry. Plutonom egzekucyjnym z Warszawy, Łodzi, Kielc, Krakowa, Bydgoszczy i Lublina. Niebawem i w Rokitnie miały zagrać faszystowskie bergmany, miast bolszewickich naganów. Była to muzyka śmierci. Kto słyszał kiedyś bzyk kuli lub czuł jej kłapięcie o ciało swoje lub cudze? Pierwszym, a może jednym z pierwszych, którego okaleczyła „nadczołwiecza” kula był mój mały, bezbronny piesek – Kłębuszek.

Głód skręcał nasze żołądki, kiedy nie stało Taty. Świtem, dwudziestego czerwca pożegnał się z nami. Mnie, piętnastolatкови zaledwie powiedział: – Synku, opiekuj się tym babińcem, jesteś przecież mężczyzną. Do zobaczenia!

Mieszkaliśmy teraz sami. Rutę i Natana Giejszterów zapędzono do getta. Ruta miała rację mówiąc kiedyś, że Hitler wymorduje wszystkich Żydów i tych co mieli kamienice i tych co tylko ulice. To tak z żydowska – bogatych i biednych.

Wyskoczył raz Kłębuszek ze swojej skrzyneczki. Głodna była psina. Nie miałem mu co dać do żarcia, oprócz obierzyn ziemniaczanych, opiekanych na rozgrzanym blacie płyty kuchennej. Ja jadłem. Psina, mimo zapadniętych boczków małego, ale mięsożernego brzuszka, nie chciała. Po drugiej stronie ulicy hitlerowiec pilnując Żydów w getcie, dla zabicia czasu i swoich sadystycznych chuci, wymyślił sobie arcyszatańską zabawę. Mianowicie, zwałił do siebie wygłodniałe pieski przez rzucanie jakichś ochłapów. Wtedy, ukryty za węglem strażniczej budki, strzelał do głodnych ofiar. Tak było i teraz, strzał i skowyt, najczęściej urywany ucieczką życia. Skowyt Kłębuszka był przerażający, rozpaczliwy, bolejący. Wybiegłem na ulicę pokrytą kurzem i zobaczyłem jak moje zwierzątko bieży do mnie na trzech łapkach, a czwartą na niteczce żyłki ciągnie za sobą. Dopadłem psiaka. W tym momencie padł drugi strzał. Kula pacnęła tuż obok moich bosych nóg. Hans był widocznie pijany, chybił na szczęście. Wpadłem do domu, psiak skomlał brocząc swoją psią krwią. Psia krew – pomyślałem – jak w przekleństwie. Głaszcząc Kłębuszka całowałem jego gorący, cierpiący pyszczek. Znalazłem starą brzytwę Ojca i przeciąłem skórę, na której dyndała odstrzelona psia łapka. Łapka pacnęła na podłogę, a mnie zrobiło się

niedobrze. Biedny Kłębuszek długo cierpiał. Wylizał sobie swoją ranę. Został „inwalidą wojennym”. Czasem patrzyłem jak wśród psiej czeredy Kłębuszek rej wodził. Miał szacunek i poważanie. Psy dzieliły się z nim najdrobniejszą znaną spryką lub kosteczką<sup>1</sup>.

## Zebracy

Zima z czterdziestego pierwszego na czterdziesty drugi była siarczyście mroźna i śnieżna. Głód, chłód i wielka bieda zagościły.

w naszej pożydowskiej ruderze. Wyglądały z każdego kąta, zakamarka. Już nawet obierzyn kartoflanych nie stało. A gdyby były to nie mielibyśmy na czym je przypiekać. Hitlerowcy pozbawili naszą rodzinę kartek i przydziałów opałowych. Mieli jakiegoś haka, o którym nie wiedziałem, a Mama wzywana kilka razy do rokitniańskiego gestapo nie powiedziała szczeniakowi, to znacz mnie. Zbóje czekali na powolną, głodową śmierć jeszcze jednej polskiej rodziny.

Siostry moje, Irena i Lusja, leżały w barłogu z rozpalonymi główkami. Trawiła je czterdziestopniowa gorączka. Obie, podejrzewam, miały zapalenie płuc. Wynędziały z głodu Kłębuszek inwalida skomlił w swojej skrzyneczce, zlizując od czasu do czasu otwierającą się ranę swego kikuta. Mnie dokuczały czyraki. Miałem ich aż pięć na wychudzonej pupinie. Mama miotła się po izbie dla rozgrzewki i rzucała od czasu do czasu – synu, co robić, co robić. Żal mi było Matuli. Radziła się mnie jak dorosłego mężczyzny. Po chwili namysłu rzekłem: – Idziemy Mateczko na wieś. Masz tam kilka znajomych Ukrainek. Ratowałaś je w biedzie, może one poratują teraz nas?

– Skąd ty o tym wiesz, dzieciaku – zareplikowała Mama. – Wojna zrobiła już ze mnie dorosłego – odpowiedziałem. – Po chwili dodałem – idziemy, dzień jest krótki.

Od dwóch dni piliśmy tylko wrzątek z cudem odnalezioną bolszewicką sacharyną. Na opał porąbałem ostatnie dwa stołki kuchenne. Otuliliśmy, czym było można, obie chore dziewczynki, wkładając w ich nogi okaleczonego psiaka, owiniętego w Mamy starą chustkę. Kłębuszek podziękował mi polizaniem po ręce i zajął swoim wiernym wzrokiem w moje oczy. W oczach psa wyczytałem cierpienie, ból, wierność i iskierkę nadziei. Psie oczy powiedziały mi – wy wróćcie, uratujecie nas, prawda?

Szliśmy... Wichura miotła nami zrywając lachmany, w które byliśmy opatuleni. Za dużo było dziur w tych lachmanach. Właził w nie mróz i lizał nasze nędzne ludzkie ścierwa. Te jego mroźne, odbierające chęć walki o tę nędzną wegetację lizy, to i bolesne takie z ciarkami na ciele i zniechęcające. – No bo co to za życie – mówił mi mróz liżąc mą skórę, która obciągała kości, aby się nie rozsypały, skórę brzydką, pokrytą ropiejącymi czyrakami.

– Dokąd zmierzacie kościotrupy? – podpowiadało mi moje ego. Wam tak niewiele zostało. Mama w rowie, wiatr ją przewrócił – Zostaw mnie synu – mówi – ja już nie mogę, nie mam sił. Idź sam. Ratuj siostrzyczki. – Nie, odpowiadam, podnosząc Mamę z zasp. – Bądź dzielna. Nie stanie ciebie, nie stanie nas – dodaje. – Walczymy, dopóty w nas iskierka siły i życia. Pomyśl Mamo, one tam czekają, wierzą w nas, w nasz powrót.

Mama wstaje, obejmujemy się dla ciepłoty i dalej, dalej do wioski zasypanej śniegiem. Do ludzi, Może poratują, nakarmią, ogrzeją. Do pierwszej z brzegu chaty dotarliśmy gdy już szarzało. Mama upadła przechodząc próg sieni, z której powiało ciepłem, duchotą. Trafiliśmy na świeżo wyjęty z pieca chleb.

- Szo ce was przyznało w takuju czortowuju pohodu – powiedziała Nastia Zadorna. – Eto Lena, o światy Boh. Nastia była dobrą kobietą, ale bała się swego Wasyla. Na szczęście nie było go w domu. Kobieta posadziła nas zdrewniałych z zimna i zmęczenia na ławie i dała po ciepłym podpłomyku i po garnuszku słodkiego mleka. Ach co to była za rozkosz, po dziesięciokilometrowym marszu w zawirusze, w zaspach śniegowych, po setkach upadków i podniesień z chwiejną nadzieją i wiarą czy dojdziemy? A jeśli dojdziemy i nie wpuszczą, poszczują psami, albo zamordują? Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) bardzo się uaktywniła. W niektórych wioskach, osiedlach i chutorach były ofiary. Mordowano Polaków, nawet wśród mieszanych małżeństw polsko-ukraińskich, czy też ukraińsko-polskich.

Usiąść wreszcie w chacie, gdzie pieczono do niedawna chleb, a jeszcze dostać ten chleb do jedzenia i mleko? – Dla tego samego jedzenia, dla rozkoszy podniebienia warto tu było przyjść, prawda Mamo –

---

<sup>1</sup> Cholera! Dlaczego wśród ludzi bywało odwrotnie? Ileż to razy w faszystowskim obozie zagłady wrywano mi z rąk moją głodową rację chleba. A przecież jako małolatek byłem słabszy od swych towarzyszy niedoli. Czyżby dlatego, że byłem ludzikiem a nie szczeniakiem godnym litości i współczucia? Bo czyż mógł być podobny do człowieka ktoś z przetrąconym kręgosłupem, przebitej na wylot odbytnicy, permanentnie zaropiałych oczach, o żołądku przeżartym kwasami, z gniazdami pluskiew pod gipsem, okalającym połamane kończyny? Ktoś, kogo po jeszcze kilku doświadczeniach pseudomedycznych dla germańsko-faszystowskiej rasy nordyckiej, miano wyekspediować przez komin krematoryjny do świętego Piotra?

Wybiegłem nieco do przodu ze swoim opisem wojennego dzieciństwa łamiąc zachowaną dotychczas konwencję chronologiczną. Myślę, że Szanowny Czytelnik mi wybaczy to post scriptum.

odezwałem się nieśmiało. – Mama nic nie odpowiedziała. Trzymała placek oburącz – był ciepły – i płakała. Ja starałem się jeść, ale po kilku kęsach i chlebek i mleko zaczęło rosnać mi w ustach, a przecież były takie pyszne. Przypomniałem sobie obie siostry, dwa małe kościotrupki rozpalone gorączką i Kłębuszka z ustrzeloną łapką. To właśnie wspomnienie, sprzed kilku godzin, odebrało mi apetyt. Cała ta trójka została tam daleko w zimnej chacie bez jedzenia, lekarstw, bez ratunku. Może wtargnęli do nich hitlerowscy siepacze? Może się znęcają?

Rozpalone główki siostr, ich błyszczące od gorączki oczy, otwarte, popękane usta, oczy zażawione psiaka-cierpiętnika, jego skowyt.

A tu z kawałkiem chlebowego placka Matka płacząca. Retrospekcja przesmutna i rzeczywistość, realia, terażniejszość. A ja, pyłek ludzki, nastoletni chłopiec z wołyńskiego chutoru, musiałem to wszystko znieść, wytrzymać, ba, podjąć jedynie słuszną decyzję dla ratowania Mamy, siostr, psiaka, siebie. Cholera, jakże już byłem dorosły i chciało mi się wyć, wyć głośno, ażeby zagłuszyć fizyczny ból odchodzących od mrozu nóg i ból psychiczny własnej niemocy.

Chleb rarytas gorzkniał, rósł w gardle. Ciepłość izby wlewała się wolniutko strużkami w ciało i rozleniwiała. Apatia była tuż, tuż na samej krawędzi i wtedy było tragicznie, po nas, Mamie i mnie, po nich, chorej, głodnej i zziębniętej trójce pozostawionej tam w chacie jak lodówka. Ocknąłem się. Świadomość, że ktoś chory, głodny, oczekujący pomocy czeka, kazała trwać, być sprężonym w sobie, czujnym, przygotowanym na jeszcze jeden los cios. Z odrętwienia wyrwał mnie głos haziajki:

– Majete dwie krużki hreki, budę muka. – Lena, noczuwały w mene ne możete, moj muž wełyko serdytyj. – Powiedziawszy to pocziwa i dobra, jak na te czasy, haziajka poczęła nas żegnać.

Na dworze mróz znów otworzył swoje lodowate ramiona. Ziemna twarz księżycy patrzyła na nas z kosmicznej odległości swymi olbrzymimi oczodolami. Patrzyła na Matkę przedwcześnie postarzałą i na mnie, syna, przedwcześnie dojrzałego, jak pukaliśmy od chaty do chaty prosząc pokornie o nocleg, chociażby w oborze z bydełkiem i o glonek chleba, o kubeczek mąki, o dwa zmarzniete kartofle.

Widziałeś Boże najjaśniejszy i najpotężniejszy ze Swojej mgławicy, gdzieś wśród Ursa Maior, nasze dwa ludzkie w łachmanach cienie, jak pozbawieni wszelkich ludzkich godności zebrzemy? Zebrzemy dla siebie i swoich najbliższych, bo chcemy przedłużyć naszą wegetację o dzień, o dwa może? Szczuto nas psami, wypędzano kopniakami, lżono wyzwiskami w stylu – proklatyje Lachy. Matka moja może była już grzesznicą, była bowiem po trzydziestce, ale ja? Nie miałem jeszcze czasu Ciebie Boże rozg-niewać. – Boże! Ja grzeszę. Może biczujesz, chłoszczesz mię tym zimnem, za grzechy mych dziadów, ojców?

Bóg dobry jednak się zlitował. Późnym już wieczorem jakaś łaskawa haziajka dała nam nocleg w oborze. W towarzystwie krówki, dwóch świnek i konia, leżeliśmy zakopani w sianie. Obora pachniała obornikiem, mdłym zapachem mleka i amoniakiem. Odurzające to były zapachy, a mimo to nie mogliśmy zasnąć. Mama pojękiwała, był to chyba szloch. Nie przerywałem. Wiedziałem od dorosłych, że płacz czasami przynosi ulgę. Mama przecież załamała się kompletnie. Do mnie Morfeusz też nie przychodził. Gdzieś w mroźnej przestrzeni czekała trójka żywych – nie dopuszczałem żadnej innej, okrutniejszej wersji – istot. Czekala z nadzieją. Dwa dni bez kęsa jadła a i przedtem były tylko obie-rzyny ziemniaczane i wrzątek z resztkami sacharyny.

– Czekajcie małe ludziki i ty piesku-inwalido, jeszcze tylko parę godzin, jeszcze tylko parę bezsennych, zgorączkowanych z żołądkiem przyschniętym do krzyża, godzin. – Nie mogliśmy do was nocy dzisiejszej iść. Zamarzlibyśmy po drodze. Zbyt wielkie było ryzyko zmęczenia. Wybaczcie nam ten glonek chleba i kubeczek mleczka, zjedzony i wypity bez was – mówiłem w myślach do siebie prawie w półśnie, bo prawdziwy sen, mimo potwornego zmęczenia, nie przychodził.

Skoro świt ruszyliśmy dalej, odświeżeni kąpielą twarzy w śniegu. Plonem żebractwa było kilka glonków chleba, parę zmarznietych ziemniaków i kilka kruszek (kubeczków) gryki mielonej w żarnach na pół-kaszę, pół-mąkę.

Do domu dotarliśmy około południa, pół żywi, do pół żywych istotek. Doczekały się Matki, brata a Kłębuszek kosteczki, jednej jedynej, którą znalazłem w oborze. Leżały pod wszystkim co było w domu. Osowiałe z błędnymi oczami, prawie nieprzytomne. Psiak rzeził w ich nogach, nawet nie zaszczekał na powitanie, nie miał prawdopodobnie sił. Kubel z uryną zamarzł. Szyby okienne pokryły esy floresy mrozu. W pokoju była minusowa temperatura. Nie miałem już czego porąbać na opał. Pozostała jedynie szafa z łachmanami, w niej jedyna nadzieja.

## Złodziejskie nasienie

Po drugiej stronie ulicy, obok willi zajmowanej przez SS-Hauptsturmführera Jurgena Dühla, szefa gestapo miasta Rokitno Wołyńskie, leżało kilka metrów brzożowego drzewa. Chodziłem po zimnym pokoju i co chwila zerkałem przez wychuchaną w szybie dziurę. Już w wyobraźni widziałem jak to brzo-

zowe drzewo buzuje w piecu. Jak ciepło rozchodzi się po izbie, a na rozgrzanych fajerkach płyty mama warzy zacierki z wyżebranej mąki gryczanej.

Wyszedłem. Przeskoczyłem ulicę. Obejrzałem okna werandy domu zajmowanego przez faszystę. Podszedłem do drzewa, wybrałem najmniej sękatą łupkę i z wysiłkiem wziąłem na ramiona. Doszedłem do furtki i zawróciłem. Położyłem drzewo na swoje miejsce. Coś mi w duszy szeptało – nie bierz tego drzewa, to dynamit, zginiesz. Wróciłem do domu. Znów kwilenie siostr, skowyt psa i słowa Mamy – synu gdzie byłeś, trzeba coś zrobić, musimy napalić w płycie. Wyszedłem powtórnie. Historia się powtórzyła. Już byłem przy furtce i znów zawróciłem. Miałem przecucie, esesman stał prawdopodobnie za kotarą na swojej ciepłej werandzie z odbezpieczonym pistoletem i cierpliwie czekał. Ja się wahałem, bałem się, cholernie się bałem. Cierpienie rodziny było jednak silniejsze od mego strachu a esesman syty, wyspany, znudzony beczynościami, czekał na swoją ofiarę. Nie wiedziałem, że jestem obserwowany, a mimo to czułem na swoich plecach wzrok czarnego szakala z błyskawicami na patkach munduru. Musiałem zaryzykować. Poszedłem po drzewo po raz trzeci. Tym razem zdecydowanie – „... raz rodyła maty, raz treba umiraty” – jak mawiał sienkiewiczowski Bohun. Byłem już poza furtką, przygnieciony ciężarem, gdy usłyszałem – halt! Ich schübe. Przyspieszyłem kroku i padł strzał. Pocisk chybił moją głowę, ale trafił w lewe ucho czapki uszanki i zerwał mija. Leżałem na śniegu przygnieciony łupką drzewa, a prawy policzek gniótł but Niemca stojącego nade mną z dymiącym pistoletem. W chwilę potem usłyszałem szloch Mamy. Stała boso na śniegu przed Jurgenem Dühlem i krzyczała: – zabiłeś mi syna morderco! Zabij i mnie. – Mamo, ja żyję, on chybił – powiedziałem zduszonym głosem. – Wracaj do domu – dorzuciłem ochrypnięty. W ułamek sekundy potem faszysta kopnął Mamę w brzuch. Upadła, chciałem jej pomóc, ale but esesmana zszedł z mojej twarzy i oparł się jeszcze silniej na karku.

– Ausstein! – usłyszałem. Podniosłem się jak znokautowany w ringu bokser. Gestapowiec wskazał na drzewo, w którym jeszcze do niedawna widziałem chwilowe szczęście rodzinne. Szczęście ciepła rozchodzącego się po nieopalanej i głodnej ruderze. Zrozumiałem kata, pomimo, że byłem podludziem. Niosłem drzewo, jak utracony skarb, na miejsce kradzieży, a na karku czułem zimną łufę parabelki.

Gestapowiec zaprowadził mnie do obszernego przedpokoju przed oblicze nieco wystraszonej kobiety. Kucharki i kochanki w jednej osobie. Była Polką, mówiono, że volksdeutschką. Poprzez ową kolaborantkę wywiedział się wszyście o mnie. Kiedy frau Elizabeth wymieniła mój wiek, esesman spurpurowiał i wrzasnął: – Jungendliche Dieb! – Zapytałem, co powiedział mój oprawca? Elizabeth powiedziała, że Jungenliche Dieb, to znaczy młodociany złodziej.

We mnie jakby grom strzelił, ale opanowałem się szybko i powiedziałem, prosząc tłumaczkę, by powtórzyła gestapowcowi – Do mego mieszkania jest około trzydziestu metrów zaledwie. Niech ten wieprz pójdzie i zobaczy dlaczego wziąłem to nieszczęsne drzewo. Nie wiem czy frau Elizabeth dosłownie przetłumaczyła, to co powiedziałem, ale chyba słowo wieprz opuściła, bo esesman włożył rękawiczki reniferki na swe pulchne łapska i uderzył mnie na odlew w twarz. Uderzył mnie w rękawicze, mnie, zziębniętego, zamorzonego głodem podludziaka. Jakże strasznie Germanie musieli nienawidzić nas Słowian.

Sprężyłem się w sobie, ugiąłem się w kolanach i już miałem skoczyć, aby zatopić swe ostre, młode zęby w gardle gada, ale za mną stanęła Mama.

– Synku! – usłyszałem – nie gub siebie i nas. Słowa te moja Mama wypowiedziała takim błagającym głosem, że zdrętwiałem, ba, pierwotny mój odruch poraził jakiś prąd. Skapitulowałem, spokorniałem, stałem się obojętny na to co mnie czeka.

Gestapowiec, pod pistoletem, zaprowadził mnie do jednego ze swoich apartamentów. Kazał, na migi, zdjąć kurtkę i położyć się na brzuchu, na krześle. Polecenie wykonałem. Wtedy oprawca złapał oburącz pas żołnierski z klamrą, na której był napis – Gott mit uns i zaczął mnie nim okładać. Na kościej pupie miałem pięć ogromnych czyraków, które zaczęły pękać. Ból był świdorowaty, piekący, omdlewający, ale do wytrzymania. Ropa z krwią zaczęła, pod wpływem uderzeń, sączyć się przez porcięta. Kat myślał, że z bólu narobiłem w spodnie i przerwał egzekucję. – Weg schweine! – usłyszałem. Powłócząc nogami wyszedłem z pokoju i wpadłem w ramiona na pół zemdlonej Matuli, stała bowiem pod drzwiami i liczyła razy.

Powiedziała potem, naliczyłam ich trzydzieści siedem. To tyle synku, ile mam teraz lat. – Nie wiedziałam, że mój syn jest taki cierpliwy na ból fizyczny, rzeczywiście jesteś już mężczyzną – dodała.

Do pieca poszła nasza ostatnia, drewniana szafa. Jakże cholernie smakowały postne zacierki z gryczanej mąki. Odżyliśmy. Jak mało nam było potrzeba w tych strasznych czasach, aby przetrwać.

## Samobójcze myśli

Zima roku dziewięćset czterdziestego pierwszego na czterdziesty drugi trwała. Groźna, mroźna, głodna dla nas podludzi, zdrowa mroźnością swoją dla obutych, odzianych w szuby o pełnych brzuchach nadludzi.

Esesmani Hauptsturmführera Dühla często zaglądali do naszego głodnego i wyziębionego domu. Prawdopodobnie sprawdzali jakim drzewem palimy. Wiedziałem, że nie wolno mi było przynieść do domu drzewa brzoźowego. Broń Panie Boże. Chodziłem po opał na oddaloną o trzy kilometry wąskotorową stację kolejową, która wraz z odejściem bolszewików zniknęła z powierzchni ziemi. Przynosiłem spróchniałe kolejowe podkłady. Codziennie sześć kilometrów, trzy z ciężarem ponad siły. W dalszym ciągu nie miałem butów. Nogi wkładałem w stare chłopskie łapcie, owijałem je szmatami i okręcałem sznurkiem, czasami, chociaż z rzadka – jakiś pocziwina, jadący saniami, podwiózł mnie, poczęstował suszonymi jabłkami lub gruszką.

Dni i noce były upiorne. Kiedy nastawał dzień, chciało się, by szybko minął. Noce natomiast były bezsenne. Głód doskwierał, skronie pulsowały. W getcie coraz częściej słychać było strzały. Wycie ludzi szczytych i mordowanych, krzyki obłąkanych, wszystko to nie dawało spać, pobudzało do refleksji niezdrowych, samobójczych. Wyjść, wybiec na ulicę, rzucić się na byle jakiego Niemca i to byłby koniec. Dla mnie tak, ale są przecież bliźni – Matka, siostry, no i psina. A może z nimi też skończyć? Przecież takie życie już »dawno przestało mieć sens. Było to powolne konanie.

Trwał już trzeci rok wojny i okupacji. Sowieckiej, a teraz niemieckiej. Nadzieja na rychłe zakończenie rzezi dawno prysnęła, przynajmniej w moim zaszczytnym środowisku. Nie widziałem, oczywiście jako nastolatek, miejsca Polski po ewentualnym zakończeniu wojny zwycięskiej dla Stalina lub Hitlera. Dla mnie obaj byli zbrodniarzami mego narodu. Teraz walczą ze sobą mordując miliony swoich rodaków, Rosjan i Niemców, a my Polacy padamy ofiarą i bolszewizmu i faszystów. Obojętnie kto z nich zwycięży w tej światowej rzezi – Hitler czy Stalin, my Polacy na niepodległość swojej Ojczyzny się nie wybijemy. Będziemy niewolnikami Trzeciej Rzeszy Niemieckiej, jeżeli zwycięży Hitler, albo obywatelami zgwałconej Polski, siedemnastej republiki sowieckiej, gdy zwycięży batko Stalin.

Podczas pewnej, mroźnej, koszarnej nocy roku czterdziestego drugiego, ktoś przerwał tok moich minorowych myśli, skrobiąc cichutko do drzwi. Kłębusek zawarczał. Skrobnięcia się powtórzyły. Kłębusek znów zawarczał. Podszedłem, zapytałem cicho – kto?

– Synku, to ja, Ojciec – usłyszałem. Wraz z mrozem, pachnący machorką i wiatrem, jak zając, wtoczył się przez próg tatko. – Cicho dzieci – powiedział. – Nie mogłem, musiałem was zobaczyć. Osiem długich miesięcy nie widzieliśmy rodzica. Łez i uścisków nikt nie żałował. Nie paliliśmy naszej karbidówki. Księżyc jasno świecący był naszym światłem i dzięki niemu spostrzeżliśmy, że tatko zapuścił wąsy i brodę. Teraz otoczony ciasnym kołem czworga najbliższych, dzielił ciemny, partyzancki kumysniak. Zaszczekały cztery szczęki. Chleb przetkany mrozem, pachnący Ojca kufajką i machorką wybornie smakował. Jedliśmy w monstualnym milczeniu, słuchając opowiadań rodzica. Mówił krótkimi, związłymi zdaniami mocno się zacinając. Uciekł bolszewikom z transportu na Syberię. Było to za Szepetówką. Wcześniej z kilkoma innymi straceńcami wyrznął dziurę w podłodze wagonu i wtedy, gdy pociąg jechał powoli pod górę, część odważnych opuściła wagon, padając plecami między szynami. – Postawiliśmy wszystko na jedną kartę, wóz, albo przewóz. „Raz rodyła maty, raz treba umiraty” – kontynuował swoją, sensacyjną opowieść tata. Razem ze mną uciekł pan Zygmunt Kossakowski. – Maszynista kolejowy z Chinoczy? – wtrąciła Mama. – Zgadza się Heleno, ten sam – potwierdził Ojciec. On to właśnie opowiadał mi o zasłyszanych masowych zbrodniach bolszewickich na polskich jeńcach wojennych, dokonanych wczesną wiosną czterdziestego roku<sup>1</sup>. Mój imiennik podczas okupacji sowieckiej naszych stron prowadził często pociągi szerokotorowe na trasach: Kowel – Równe – Sarny – Baranowicze – Łuniniec – Smoleńsk i był świadkiem wielu rozmów kolejarzy sowieckich między sobą na tematy raztrełow Polaczków. Dyskutanci, najczęściej mocno przestraszeni i dyskretni, nie przypuszczali, że Kossakowski jest Polakiem, a on sam władał doskonale językiem rosyjskim i nie zdradzał swego prawdziwego pochodzenia. Musiał w jakichś nie wyjaśnionych dla siebie okolicznościach coś komuś nieopatrznie chlapnąć, bo dopadli go enkawudyści. W Szepetówce wepchnęli do wagonu, ale na krótko, gdyż podczas ucieczki zabrał się ze mną. Obaj przedzieraliśmy się lasami w kierunku na Klewań, Luck, obserwując z ukrycia kolumny pancerne wojsk niemieckich pracujących bez oporu na wschód. Po kilku dniach i nocach dotarliśmy do Kiwerc, a tu już prawie byłem w domu. – Twoja,

<sup>1</sup> Była to na pewno Zbrodnia Katyńska. W 1943 roku, będąc w hitlerowskim obozie kaźni w Duisburgu (Zagłębie Rühry), widziałem w hucie cynku „Berelius” słynny plakat, przedstawiający bolszewika w budionce z czerwoną gwiazdą na głowie, przebijającego długim bagnetem polskiego oficera, będącego w pozycji pół leżącej w rogatywce z orłem w koronie na głowie. Twarz żołnierza wyrażała przerażenie.

Helena, dalsza rodzina – Ojciec pochylił się ku Mamie – Marysia i Tosiek Kafarscy<sup>1</sup> okazali się wspaniałymi ludźmi. Mało, że udzielili nam schronienia, ale skontaktowali z pewną zakonspirowaną organizacją, dzięki której udało mi się, po kilku miesiącach przygotowań dotrzeć do was.

Ojciec opowiedział też nam, że przeszedł tyfus. Brał kilkakrotnie udział w tak zwanych kolejówkach. Był w oddziale partyzanckim dynamatorem i wysadzał niemieckie pociągi wojskowe podczas ruchu oraz samoloty na zamaskowanych lotniskach polowych. Nie zdradził nam jednak, przypuszczam, że ze względu na nasze bezpieczeństwo, w jakim jest oddziale zbrojnego podziemia.

Tata przerwał na chwilę historię swoich przeżyć po ucieczce z sowieckiego transportu na Syberię i wtedy Mama zaczęła nadawać. Opowiedziała nasz wypad na żebry, do wioski ukraińskiej i moją przygodę z drzewem. Mówiła bez egzaltacji, spokojnie i rzeczowo

– Tak, tatku – wtrąciłem – jesteście cieniami naszych cieni. – Masz Ojczyźnie spluwę, może jeszcze z tłumikiem? – Załatw nas, po kolei. Spłodziłeś – masz prawo. Chyba, że chcesz abym zginął od faszystowskiej kuli? Któregoś dnia nie wytrzymam, rzucę się na jakiegoś szwabę i będzie po wszystkim. Skończy się niepewność jutra, bolesne czyraki rozgniatane faszystowskim pasem, głód, zimno, żebrania, patrzywanie na ludzkie cierpienia.

– Tadeusz – przerwał Ojciec – jest ci cholernie ciężko, wiem. Ciężej niż mnie. Ja z nimi walczę. Mam broń, a ty musisz cierpieć, znosić poniżenia i zniewagi. Pamiętaj, to się kiedyś skończy. Musi się skończyć. Wszystkich nas nie wymordują. Nie daliśmy się bolszewikom, nie damy się tym czarnym i brunatnym Hunom. Najgorsze to przeżyć tę zimę. Nam w lesie też jest bardzo zimno. Głodno synku też. Ale ludzie są w gorszych jeszcze warunkach, w obozach koncentracyjnych i sowieckich łagrach, na froncie. Do naszego oddziału pewnej nocy przycołgało się kilku jeńców sowieckich. Uciekli z obozu, czy z kacetu z Sobiboru. Byli w stanie krańcowego wyczerpania. Trzem z nich w naszym prymitywnym polowym sanitariacie odjęto nogi. Gangrena. Bez środków znieczulających.

– Zygmunt – zachnęła się Mama – daj spokój. – Nie masz już serca. Nasze córeczki. Ale nie słowa Mamę przerwały ponure o cierpieniach ludzkich opowiadanie Ojca. Błysk ognia za oknami przetoczył się jaskrawością swoją po domach miejsciny. Wychyliłem się ociupinę zza drzwi. Ulicą po skrzypiącym śniegu, od strony getta, biegł w naszą stronę słup ognia. To była ludzka pochodnia. Skwierczący, wyjący i cuchnący strzęp ludzkiego ciała. Pochodnia upadła. Dopiero teraz zauważyłem, że oprawcy przywiązali drutem skazańca do krzyża. Ramię środkowe na wysokości kręgosłupa. Natomiast do ramion bocznych ręce. Domyślił się w rodzinie, że nieszczęśnik obłany był benzyną i podpalony.

Nazajutrz gruchnęła wieść, że męczennikiem tym był Żyd, Izaak Mojżesz z Klesowa. Plunął pilnującemu go wachmanowi w twarz i za to spotkała go taka potworna kara.

\* \* \*

Ojciec pozostał u nas na dalszą część owej okropnej nocy i dzień następny. Podczas podejrzanych ruchów wokół domu wcale nie wskakiwał do piwnicy mieszczącej się w kuchni pod podłogą, a przygotowanej przez Mamę na kryjówkę dla niego, na wypadek niebezpieczeństwa. Podejrzewam, że wizyta naszego Taty w Rokitnie Wołyńskim po ośmiu miesiącach nieobecności, miała jakiś ważniejszy cel, niż odwiedziny rodziny.

Następnego dnia, późnym wieczorem, Tata pożegnał się z nami na dobre. Przytulając jego brodatą twarz do swojej gładkiej, bo dziecinnej, czułem na wąsach i brodzie wilgoć. Mój stary, bardzo twardy człowiek płakał. Przeczuwał widocznie, że jest to jego ostatnie spotkanie z rodziną w tym składzie, a z żoną, naszą Matką, ostatnie.

W dwie godziny po opuszczeniu przez Ojca mieszkania zostało rozbite rokitniańskie więzienie. Wielu byłych więźniów NKWD i gestapo, którzy cudem uniknęli czapy (kara śmierci) od jednego i drugiego okupanta, znalazło się na wolności. Po Rokitnie zaczęła krążyć wieść, że więzienie rozbił jakiś zbrojny oddział akowski, dowodzony przez kapitana Sokołowskiego (wtyczka AK w gestapo w randze SS-Obersturmführera) i jakiś „Zyga”. Po latach dowiedziałem się, że tym tajemniczym „Zygą” był mój Tata.

<sup>1</sup> Maria i Antoni Kafarscy, repatrianci, po wojnie mieszkali w Ostródzie a następnie w Olsztynku. Byli moimi przyszywanymi dziadkami. Babcia zmarła w 1969 roku, a dziadziuś przeżył ją o cztery lata. Oboje leżą na cmentarzu w Olsztynku. Wychowali, adoptując, moją cioteczną siostrę, Janinę Jurkiewicz-Borysewicz i za życia doczekali się wnuków.

\* \* \*

Dożyliśmy jakoś wiosny roku 1942. Ani siarczysty mróz minionej zimy, ani esesmani Hauptsturmführera Dühla, zagładający do naszej zimnej nory regularnie, co drugi dzień, nie zmożły nas. Żyjemy a z nami nasze wszy, pluskwy, świerz b i bieda. Na razie pozbyliśmy się jednego wroga – zimna.

Pewnego majowego dnia, pełnego słońca, soczystej zieleni, bieli bżów i demonicznego zapachu wołyńskiej czeremchy, które przepelniały powietrze, na progu naszej pożydowskiej rudery pojawił się niemiecki żołnierz z karabinem na pasie typu mauser wzór 1893. Po zniszczonym, połatanym mundurze, starym typie karabinu, ładowanego dziesięcioma nabojami z łódki, zaawansowanym wieku właściciela, można było wywnioskować, że nie należy on do doborowych dywizji Wehrmachtu, a raczej do oddziałów pomocniczych III Rzeszy Niemieckiej.

Przywitał mnie, o dziwo, polskim – dzień dobry. Odpowiedziałem na pozdrowienie.

– Pozwolisz, synek, wejść do mieszkania? – zagadnął łagodnie.

– Jest pan żołnierzem zwycięskiej armii, a takim nie wolno odmawiać – powiedziałem z przekąsem.

Żołnierz uśmiechnął się nawet dość sympatycznie. Położył swoją dłoń na mym ramieniu i powiedział: – Nie przychodzę jako wróg, ja sem Polok ze Śląska – prowadź. Mama jak zobaczyła mnie w towarzystwie szwaba wchodzącego do mieszkania, zbladła jak chusta. Nie zdążyłem z wyjaśnieniem, bo żołnierz, zobaczywszy przed wejściem do pokoju krzyż z przybitym doń pozłacanym wizerunkiem Chrystusa i wystraszoną kobietę, zdjął szybko swoją mütze i pokłonił się słowami – Niech będzie pochwalony, dobra kobieto. Mniemam, że Matula na moment zbaraniała. Otrząsnęła się szybko, odpowiedziała na wieki wieków, zaprosiła gestem dziwnego gościa w mundurze felgrau do zajęcia miejsca na brzegu łóżka, bo ani krzesła, ani kawałka stołka w mieszkaniu nie było od minionej zimy.

Nasz nieproszony gość okazał się człowiekiem gadatliwym i dobrodusznym. Popykując fajeczkę opowiadał swoją biografię górnika przodowego w kopalni węgla kamiennego. Przechodząc do okresu wojny mówił, że w niemieckiej, nienawistnej armii, znalazł się einberufen z przymusu, bo Hitler uważa Ślązaków i Zagłębiaków za swoich i powołuje do Wehrmachtu na równi ze szwabami. Ale oni nie chcą się bić za tego gefreitra Adolfa i dekują się po oddziałach pomocniczych, a nawet dezertują. – Teraz feldfel wysłał go, aby zorganizował trochę szpeku, kur i jajek dla kamratów.

Mama na to rozłożyła ręce i zaczęła urywanymi zdaniem opowiadać naszą nędzę. – Pan mówi o szpeku, drobiu i jajkach dla swoich spasionych koleśków, a ja z trójką dzieci już od dawna nie wiem jak smakuje zwykły, razowy chleb, albo kartofel, nawet bez soli – krzyczała.

Schutzte, Konrad Gajorek, bo tak się ów Ślązak nazywał, uważnie z pokorą wysłuchał Matuli, poprosił o kubek wody, podziękował, wypił, otarł wierzchem dłoni szpeciniaste, rude wąsy i rzekł do mnie – Kom synek, po brot!

Po kilometryrce drogi, wijącej się obok naszej rzeczulki Lwy, dostrzegłem w oddali wśród drzew brezentowe namioty, a w nozdrza moje uderzył zapach żołnierskiej grochówki na wędzonce. Ów zapach skręcił mi bebechy a ślina, jak u wściekłego psa piana, rosła i pęczniała w gębie. – Zostaniesz synek, tu za tym drzewem – usłyszałem bas szeregowca Gajorka – a ja za kilka chwil przyniosę ci ein feldfasche suppe und brot, gut?

Bardziej domyśliłem się niż zrozumiałem ostatnie zdanie swego dobroczyńcy wypowiedziane po niemiecku. Przykucnąłem posłusznie pod drzewem w pozycji krasnala i cierpliwie, choć z bólem, czekałem na spełnienie zaspokojenia głodu, który wzmagał się z każdą mijającą sekundą. Zapach zarcia gotowanego w żołnierskiej kuchni polowej doprowadzał mnie do oblędu. Przypomniałem sobie, że grochówki nie jadłem całe wieki i czy w ogóle ją kiedykolwiek jadłem?

Wreszcie powiało niesamowitą wonią. Pojawił się mój Konrad. Pomyślałem sobie, że każdy ma w życiu swego Konrada, tylko o tym nie wie. Adam Mickiewicz miał swego Wallenroda, a ja mam swego Gajorka. Mój wsadził w moje trzęsące się łapska pełny dekiel od menażki grochowy. Rzuciłem się na nią i w mgnieniu oka pożarłem, jak pies przysłowiową muchę, a dekiel i łyżkę oblizałem tak dokładnie, że nie wymagała mycia. Mój Wallenrod przez cały ten czas przyglądał mi się badawczo, kręcił głową, a spod jego wąsów wyskakiwały, jak kółeczka dymu tytoniowego, okrągłutkie słowa – Herr Gott, Herr Gott. Polski górnik z Zagłębia, wbity przez Hitlera w mundur żołdaka III Rzeszy, zapewne widział w swoim życiu niejedną nędzę, może sam przez nią przeszedł. Moja żarłoczność dekla zupy musiała wprowadzić go jednak w osłupienie. No bo, gdyby było inaczej, nie wzywałby imienia Pana Boga nadaremnie. Ludzie ze Śląska i Zagłębia – wiedziałem to od Taty – słyną z pobożności.

Tymczasem Konrad Gajorek – niech go Bóg ma w swojej opiece na frontowych ścieżkach – powtarzając bez przerwy Herr Gott – popędził do brezentowych koszar i w chwilę potem trzymałem oburącz spory pakunek owinięty w szarą torbę po cukrze. Zajrzałem, były tam dwa w kolorze kasztanu, bochenki żołnierskiego chleba.



– Masz synek, zanieś nach Haus, niech Mutterchen zrobi essen. Masz tu eine puszkę Fleisch – powiedział – łamiąc polsko-niemiecki język, dobry, bardzo dobry człowiek w mundurze żołnierza znienawidzonej, bo zaborczej armii niemieckiej.

Teraz ja pędziłem co sił na bosych nogach ze swoim skarbem do domu i myślałem o ludzkim człowieku, który musiał nosić niemiecki mundur, bo tego chciał krwawy führerek Adolfek. Konrad Gajorek uniform miał niemiecki, ale pod jego bluzą było szczerze, współczujące, dobre polskie serce, serce słowiańskie, zupełnie inne niż serce Azjaty, czy germańskie. I gdy tak myślałem o swoim dobroczyńcy w połowie drogi dostałem bolesnych skurczy żołądka. Mój brzuch nie był tak dobry jak ów człowiek w szwabskim mundurze. Mój cholerny brzuch mógł mieć dwa powody do niezadowolenia. O to, że żarłem hitlerowską bałandę, albo, że połknąłem ją na tłustym szpeku a on skurczony, przez moje częste niedojadanie, nie mógł jej strawić.

Przykucnięty w rowie z zapłakaną, umorusaną mordą głodomora, rzygałem. Oddawałem gajorkową zupę – jeszcze nie przetrawioną – trawie, która przecież na pewno nie lubiła grochówki. Patrzyłem w osłupieniu na zielen grochu, biel kartofli i kawałki boczku i żałowałem, och jak cholernie żałowałem, że nie jestem głodnym psem, ot chociażby moim Kłębuszkiem-inwalidą. Bo gdybym nim był, pożarłbym ponownie ową zupę, która zmieniła swoją formę i zapewne również smak na rzygowiny.

Ktoś po latach, czytający być może mój pamiętnik szczeniaka-nastolatka, ochrzczi mnie grafo-manem, megalomanem i do tego obrzydliwym. Nic to, odpowiadam na zapas. Pisałem prawdę, chociaż okrutną, ale prawdę. Mój Tata, mój kochany „Zyga” – nie wiem czy jeszcze żyje i czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczę – pochwaliby mnie, że piszę prawdę, ale zganiłby za megalomanię. Przed nią właśnie, wielokrotnie mnie przestrzegał. Wiedział, że piszę swój dziecinny pamiętnik. To była męska, między ojcem i synem tajemnica.

\* \* \*

Po oddaniu górą, a nie jak powinno być fizjologicznie dołem hitlerowskiej, albo jak kto woli, gajorkowej grochówki, dotarłem z chlebem i puszką konserwy mięsnej do chałupy. W gronie rodzinnym zapanowało święto, zupełna euforia. Mama, trzęsącymi się rękoma, jeden bochenek chleba podzieliła na cztery równe porcje, czyniąc przedtem nad nim znak krzyża świętego. Zawsze tak robiła w czasach przedwojennych nawet. Teraz to chleb w naszym domu był rzadko, jak mazurek na Wielkanoc. Puskę wieprzowiny postanowiliśmy mieć na kilka posiedzeń. Chleb-rarytas jedliśmy ze sporą ilością szczypioru z ogródka pani Choińskiej, a kawałeczek tak zwanej tuszonki każde z nas posuwało nosem do końca pajdki chleba, a dopiero potem z ostatnim kęsem zjadaliśmy go. Zawsze tak robiliśmy, dając „uczcie” podniebieniu.

Noc, która nieuchronnie się zbliżała, zapowiadała się spokojnie, bo nareszcie byliśmy syci po tygodniowych głodówkach. Leżąc już w swoim wyrku z trójnogim Kłębuszkiem, rozleniwionym sytością chleba – każde z nas dało mu kawałeczek ze swojej porcji – opowiedziałem Mamie i siostrom jak pożarłem, a potem wyrzygałem dekiel niemieckiej grochowy, ofiarowanej mi przez dobrego Ślązaka. Mama, po wysłuchaniu dość banalnej przygody, skarciła mnie za to, że w ogóle odważyłem się zjeść ciężkostrawną zupę na wyposzczony żołądek. – Przecież mięsa, słoniny i innych tłuszczów, jak mnie pamięć nie myli, nie jedliśmy od miesięcy – powiedziała. – Mogłeś synu przez swoje łakomstwo przejechać się do Bozi – dodała.

– Byłbym teraz Mateczko w lepszym świecie – powiedziałem z przekąsem. W raju duszyczki nie muszą, prawdopodobnie, troszczyć się o cokolwiek – dodałem z klejącymi się powiekami. Usłyszałem jeszcze bzyk komara lub komarzcycy nad uchem i już znalazłem się w świecie Morfeusza.

\* \* \*

W środku czerwcowej, upalnej nocy, owej sytej chlebem a więc szczęśliwej i słodkiej, przyszli oni, zbiry Hauptsturmführera Duhla. Przyszli po mnie, zaświecili latarkami, chociaż nie musieli, bo księżyc owej nocy, już nie słodkiej i nie szczęśliwej, był drapieźnie jasny. Mama, siostry i trójnogi Kłębuszek stawiali opór. Opór babski, bo polegający na płaczu i pieski, bo szczekliwy. Ale czy to mogło przesstraszyć bestie w czarnych uniformach? W odpowiedzi zaszczekały reperowane zamki parabelli i okrzyki – halte schnauze polnische Schweine! I obficie rozdawane razy wszystkim po kolei: Mamie, siostrom i mnie. Nie zapomnieli też kopnąć psinę-inwalidę, którego siostra Lusia nakryła swoim kruchym ciałem.

Po młócce, kiedy rodzina ochrypla od krzyków i płaczu, a psinka nie miała sił nawet zaskomleć, zakomunikowano Mamie, że jej syn, to znaczy ja, pojedę do wielkich Niemiec nach arbeit. – Za funf Minuten – zaszczekał jeden z esesmanów – miałem być gotów.

I byłem gotów, musiałem, bo zachciało mi się nagle cholernie żyć i ocalić rodzinę. Wdziałem szybko na tyłek wyłatane porcięta, na grzbiet wciągnąłem Ojca, przerobioną przez Mamę, barchanową koszulinę i to było wszystko, co miałem na okres letni. Matula zrobiła małą pacynkę z drobiazgami, na które złożyły się: kawałek chemicznego ołówka (pamiętnik rokitniański schowałem przed esesmanami)<sup>1</sup>, składany nożyk z drewnianą rączką, nazywany potocznie kozikiem, dwie pocerowane chusteczki do nosa, mały modlitewnik, pamiętnik po babci Ernestynie Annie<sup>2</sup>, zeszyt szkolny z niezapisanymi kartkami, kawałek szarego mydła, zdobytego gdzieś przez zaradną Matulę i moja porcja gaj orkowego chleba z tego drugiego bochenka. Poganiany przez oprawców – schneller! schneller! – uściskałem zapłakaną rodzinę, a sam udając mężczyznę, z podniesioną głową, oddałem się w łapy eskortujących mnie gestapowców.

Na dworze rozświetlonym przez księżyc piałą koguty, znak, że kończyła się północ. Przy zakręcie drogi prowadzącej do rokitniańskiego więzienia, tego samego gmaszyska, którego bramy przed pół rokiem rozbijał m.in. „Zyga”, czyli mój tata, usłyszałem przeciągłe wycie naszego Kłębuszka. Wierny piesek przeczuwał, że się więcej nie zobaczymy.

Ogrodzony wysokim murem dziedziniec więzienia, gdzie dotarłem z eskortą esesmańską, już był częściowo zapełniony przyszlými niewolnikami pracy przymusowej i więźniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Spotkałem kilku swoich kolegów ze szkolnej ławy powszechniaka, m.in. Mięcia Sitkowskiego i Kazia Dąbrowskiego oraz starszych ode mnie chłopców z huty „Vitrum”, Kozaka (imienia nie pamiętam), Henia Ostrowskiego i innych.

Pilnujący nas gestapowcy zabronili rozmów. Siedzieliśmy w milczeniu pod murem więziennym oczekując świtu, który miał przewrócić do góry nogami, jak huragan przewraca okręt na oceanie, nasz małomiasteczkowy, kresowy światek.

## Samookaleczenie

Świt nastał rozsloneczniony w naturze, ale mroczny w naszych sercach. Brutalnie oderwani od swoich najbliższych, byliśmy najgorszych myśli o naszym jutrze. Około godziny szóstej – orientowałem się po słońcu, bo nikt z nas nie miał zegarka – zapędzono nas, jak stado rzeźnego bydła, na bocznice dworca kolejowego, gdzie stał podstawiony skład pociągu towarowego. Niektóre wagony, zamknięte na zewnątrz, były już pełne ludzi. Nas rokitnian włoczono do wagonów bydłowych, po czterdziestu chłopca na wagon, bez wody i bez żarcia, a był gorący czerwiec czterdziestego drugiego roku. Byliśmy prawie jak kto stał. Jednych zabrano z domu, jak mnie, innych z huty szkła „Vitrum”, podczas nocnej zmiany. Mietka Sitkowskiego wzięli z ulicy a Kazia Dąbrowskiego, kiedy zdążył do pracy w piekarni. Obydwaj chłopcy byli mi najbliżsi. Ich też się trzymałem. Zawsze w trójkę łatwiej jest znieść wszelkie dole i niedole – myślałem.

Około ósmej ruszyliśmy. Jadąc przez Sarny, Kowel, prawdopodobnie do Brześcia. W Sarnach dostaliśmy po kubku zbożówki z sacharyną i po kawałku gliniastego chleba – bochenek kilogramowy na ośmiu. Tam też planowałem się urwać. W Sarnach – jak już wspomniałem – mieszkała moja babcia Apolonia z wnukami, jak również wuj Hipolit Sawicki. Ale nic z tego nie wyszło. Pociąg był szczelnie obstawiony a drzwi wagonów pozamykane na skobel od strony zewnętrznej. Turlaliśmy się niezbyt szybko często się zatrzymując, ale o otwarciu drzwi nie było mowy. Po dwóch dobach w niesamowitej ciasnocie i zaduchu dotarliśmy do Poznania, który szwabi przechrzcili na Pozen, a następnie do Wrocławia, przechrzczonego na Breslau. Na obu tych postojach dostaliśmy ciepłą wodnistą zupę ze stęchłej, ubiegłorocznej, jeżeli jeszcze nie starszej brukwi i kapusty. Rewolucje żołądkowe – w wagonie nie było ubikacji, zastępował ją wycięty w podłodze wagonu otwór – dały nam się we znaki.

Do Zagłębia Ruhry, do miejscowości Duisburg, dotarliśmy po tygodniu. Wyglądaliśmy okropnie. Każdy z nas śmierdział jak tchórz. Byliśmy wycieńczeni, apatyczni i zrezygnowani.

Po naszym wyjściu z wagonu pojawili się na czarno ubrani szkopi z tłumaczem, który nam powiedział mniej więcej tak: „Jesteście na miejscu. Zaprowadzimy was do obozu, nach baraken. Tam się was wykąpie a ubrania wasze przejdą odwszenie. Dostaniecie nowe hantcugi i drewniane, bardzo zdrowe buty, holcschue. Nakarmimy was a potem spać. Rano, um sechs Stunde, będziecie już pracować w bardzo dużej, pięknej hucie, która się nazywa „Berelius”.

<sup>1</sup> Pamiętnik otrzymałem dopiero po trzech latach, w 1945 roku w Jenie. Było to sensacyjne spotkanie z Mamą i siostrami, które przez dwa lata pracowały jako niewolnice w hucie szkła Schott i S-ka.

<sup>2</sup> Matka Ojca, Ernestyna Anna z domu Michorowska-Tom. Jej babcia była wychowanką rodziców Emilii Plater. Prochy babci spoczywają na cmentarzu dawnego majątku Chinocze, państwa Podhorskich. (Wołyń)

\* \* \*

Mijały letnie miesiące 1942 roku katorżniczej pracy przy buchających żarem, rozpalonych lawą cynkową piecach hutniczych. Jako niewolnicy pracowaliśmy bez ubrań azbestowych. Zaczynały się wypadki. Henio Orłowski stracił nogę, na którą spadł blok cynkowy ważący kilkaset kilogramów. Zbyszka Wiercińskiego zakatowano na śmierć w baraku. Spał na dolnej pryczy podę mną. Widziałem egzekucję współtowarzysza niedoli. Miał zatrucie przewodu pokarmowego. Chory niewolnik, to martwy niewolnik. Ta dewiza obowiązywała w Ostlager-Düisburg. Następnym straceńcem był Gryśza, chłopak znanu Donu (nazwiska nie pomnę), dostał pomieszania zmysłów. Wył biedak przez trzy dni w baraku, dopóki go nie otruto. Tak zwyczajnie arsenikiem, jak rattusa (szczura). Z Gryśzką przyjaźniłem się, był o kilka lat starszy ode mnie i uczył, jak mam symulować najrozmaitsze choroby i udawać malkontencję. Po prostu opieprzać się. Metody Gryśzki w hucie były mało skuteczne. Pracowaliśmy pod czujnym okiem Niemców z trupimi główkami na furazerkach, to jest esesmanów. A tych nie Sposób było oszukać.

Męczeńska śmierć Gryśzy wstrząsnęła moją dzieciinną psychiką.

Gryśza przed śmiercią ofiarował mi srebrny łańcuszek z wizerunkiem Pana Jezusa i napisem cyrylicą: „Chrystos spasi mienia”.

Z dnia na dzień byliśmy coraz słabsi. Wyżywienie (150 dkg chleba, około pół litra zupy ze zgniłej brukwi i około litr kawy zbożowej z sacharyną dziennie) nie dodawało nam sił. Wszyscy byliśmy traktowani okrutnie, tak jak radzieccy jeńcy wojenni, co do których Niemcy nie przestrzegali żadnych konwencji prawa wojennego.

Pewnego dnia rzucając do pieca kawały rudy, surówki cynku, poczułem, że słabnę, że nie wytrwam do końca zmiany. Dokonałem czegoś, co w języku potocznym można nazwać samookaleczeniem. Niby niechcąc przez nieuwagę, wpadłem nogą do świeżo wylanej formy płynną cyną. Wraz z drewniakiem, tak zwanym klumbem. Stopę, a szczególnie piętę spaliłem do kości.

W czasie opatrunku zaciskałem z bólu zęby, żeby nie krzyknąć, doprowadzało to sanitariusza hitlerowskiego do szału. Oprócz cierpienia, musiałem znosić obelgi hitlerowskiego konowala, co było stokrót bolesniejsze niż ból fizyczny okaleczonej z premedytacją nogi.

Ponad sześć tygodni migałem się od pracy w hucie. Gojącą się nogę drażniłem solą, posypywałem jakimś białym proszkiem, który dostarczał mi Miecio Sitkowski. Przez cały ten czas pędzono mnie do prac porządkowych na terenie obozu. Byłem chociaż na świeżym powietrzu. Po „rekonwalescencji” dostałem przydział do tzw. transportkommando. Przez dwadzieścia godzin – z półgodzienną przerwą na zżarcie śmierdzącej porcji bałandy – ładowaliśmy wagony cynkiem „Z-400”. Była to praca potwornie ciężka. Wagoniki podjeżdżały bardzo szybko, podstawiane przez szwabów a my: Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, czasami trafił się Francuz – jeniec wojenny – przeładowywaliśmy trzy – czterotonowe wagoniki do wagonów kolejowych lub barek podpływających Renem do nadbrzeża. Po takiej pracy nie czuliśmy kręgosłupów i ślaniałiśmy się ze zmęczenia.

Raz mi się „poszczęściło”. Niemiec obsługujący potężny, nadreński dźwig zachorował. Wlazałem na ochotnika za pulpity sterowniczy i w ciągu godziny nauczyłem się obsługiwać wcale nieskomplikowaną aparaturę. Pracowałem na dźwigu dwa tygodnie. Potem wydarzył się wypadek, który zmienił mój status niewolnika pracy przymusowej. Stałem się hefzlingiem. Po prostu, pewnego dnia, przy głodowych zawrotach głowy pomyliłem przyciski na tablicy rozdzielczej dźwigu i utopiłem w Renie około czterech ton cynku „Z-400”. Zostałem polskim sabotażystą, napiętnowanym pięćdziesięcioma szmopolami (druciane wyciory do czyszczenia karabinów).

\* \* \*

Podrozdziałik „Samookaleczenie” nagryzmołem na szarym opakowaniu jedynej paczki, jaką w owym czasie otrzymałem od ciotki z Białegostoku, Jadwigi Wysockiej. Zrobiłem to ogryzkiem chemicznego ołówka, znalezionym w sztubie blokowego „Garbusa”, potwornego drania. Treść wykulem potem na blachę, aby dopiero po wyzwoleniu w Jenie przenieść ją do swego dzieciennego pamiętnika.

W Duisburgu moi kolesie z Rokitna, mała grupka, z Kozakiem na czele, dotkliwie mnie pobili. Posądzili, że podczas kurowania spalonej nogi w obozie, podkradałem chleb z zamkniętych szafek, odkrawając po sznytce z pajdek. Całe ciało miałem w krwiakach. Było to w jakiś czwartek. Tyle tylko pamiętam. Do dzisiaj nienawidzę tego dnia tygodnia. Dopiero potem przyłapano na kradzieży chleba naszego Dolmetschera (tłumacza), Reichsdeutscha z Rokitna, którego nazwisko zapomniałem. Szkoda, bo była to wyjątkowa kanalia. Jego oczywiście nawet palcem nie tknięto, ze strachu przed „Garbusem”. Mnie nie przeprosili. Może dlatego, że wkrótce zmieniłem obóz.

## Sens życia

Samotny, opuszczony, zapomniany przez Boga i ludzi leżałem na zapyłonej żwirem kamiennym drodze śmierci. Nie widziałem już szarego, ołowianego, płaczącego nieba. Ani brudnego żwirowatego podłoża, na którym spoczywał mój pokracznie rozrzucony, półżywy, dogorywający strzęp homo sapiens, a miałem dopiero siedemnaście lat, jeden miesiąc, siedem godzin i siedemnaście minut. Same, cholerne, magiczne liczby siódemki.

Dlaczego musiałem w tak młodzieńczym wieku i to na tej niegościnniej, żwirowatej, stłamszonej drewnianymi chodakami heftlingów drodze? Odpowiedź była przecież prosta, nieskomplikowana, Jasna. Zdychając dziwiłem się sam sobie, jak mogłem tego nie pojąć. Jeżeli mój schorowany, przyćmiony umysł potrafił obliczyć z dokładnością co do minuty, kiedy matka wydała mnie na świat w brudzie żytniego łąnu zboża Ziemi Włodzimierskiej, to znaczy, że byłem jeszcze dość przytomny. Wysiliłem swoją mózgowicę do granic możliwości i po chwili w otwartych, lecz nic nie widzących, bo prawie trupich oczach, odczytałem instynktownie bardzo proste, zwykłe rozwiązanie – dlaczego??? Dlaczego musiałem umierać, a raczej zdychać. Brutalny to wyraz, ale umieraniem trudno byłoby go zastąpić. Moje powolne zdychanie, podobne do agonii przejechałego, parszywego psa, było wynikiem spełnienia sadystycznych chuci zezowatego esesmana Hansa, który z furją godną dzikiej bestii, wbił mi bagnet w kręgosłup tylko dlatego, że sponiewierałem obozowe hasło „Arbeit macht frei”.

Ale czyż mogłem tego nie zrobić? Żelazny, dwudziestokilogramowy młot, którym kazano mi, heftligowi-numerowi, po raz setny, a może i tysięczny, w kamieniołomie Dory rozbijać kamienne głązy, był o wiele za ciężki na moje – siedemnastolatka – wątłe siły. Wagę młota podnosiło jeszcze umocowane doń długie, dębowe stylisko. Podnosząc młot do góry, wysoko ponad głowę, czułem, że z każdą minutą słabnę, że opuszczają mnie siły. Pępek przysychał do – wtedy jeszcze – zdrowego w cudzysłowie kręgosłupa, krtań ścisnęła jakaś niewidzialna lecz wyczuwalna obręcz, w uszach tworzyły się korki, a oczy z ludzkich stawały się rybie. Coś je wypychało, wylupywało. Młot spadając na litą skałę granitu nie czynił jej żadnej krzywdy. Skała nie poddawała się smarkaczowi z olbrzymim młotem, drwiła sobie ze mnie i z jakimś chichotem przyjmowała uderzenia sprężynując, lecz nie pękając.

Po którymś tam podniesieniu i opuszczeniu ciężaru zakłętego w młocie na niepokonaną granitową skałę, postanowiłem poddać się opuszczając młot na zawsze. Wtedy to właśnie sponiewierałem wiszące na bramie obozowej hasło – „Arbeit mach frei”. Wiedziałem, że tym samym wydałem na siebie wyrok śmierci. Tylko jakiej? Lekkiej, bezbolesnej, czy pełnej bólów za pomocą tortur?

Ileż to razy, szczególnie w sytuacjach stresowych, zastanawiałem się nad sensem życia. Czyż dotychczasowe miało jakiś sens? Byłem już w trzecim faszystowskim obozie kaźni. Z dwóch uciekłem, ale tylko po to, by trafić do tego najcięższego. Teraz zaplanowałem świadomie trzecią ucieczkę i to tę ostatnią, jedyną ucieczkę, poza życie. Dopomogły mi w niej martwe przedmioty – ciężki młot i lita, granitowa skała. Miała to być ucieczka cholernie dziwna, prozaiczna. Nie z kacetu, nie ku wolności, bo takiej nigdzie w Europie ogarniętej pożogą wojny nie widziałem, ale ku całkowitemu wyzwoleniu się z wszystkiego co ziemskie. Cha, cha, ku śmierci. Stamtąd – myślałem – nie będzie już żadnej ucieczki. Czyli mój sens życia kończył się – finito. Nadszedł czas zejścia, czyli po prostu śmierci. W umierającym mózgu zakiełkowało zwykłe ludzkie pytanie, dlaczego tak wcześniej? Siedemnaście lat??? Komórka mózgowa, która miała na to pytanie dać odpowiedź milczała.

Ciało okaleczone, wstrętne, pokryte ropiejącymi wrzodami i ranami, w których zaległy się barakowe pluskwy, ciało za życia gnijące, odrażająco śmierdzące zeżre robactwo. Nie zasłużyłem nawet na krematorium? Ja, niewolnik-numer, człowiek bez imienia i nazwiska, zwykle śmierdzące łajno. A dusza? A czyż jeszcze ją miałem???

Do mych uszu, powolutku, jak szelest motyli skrzydeł dociera jakiś tętent. Wzmaga się z minuty na minutę, w początkowej fazie jest jak lekkie drżenie jesiennych liści zamiatanych przez listopadowy wiatr, potem jest odgłosem sfory psów myśliwskich osaczających zwierzynę i wreszcie jak galopującego stada koni. Tętent jest coraz bliżej, bliżej. Mimo, że jestem półprzytomny rozpoznaję słuchowo, bo oczy moje nadal są martwe, pędzone przez wachmanów moje kommando, sonderkommando. Powraca ono z katorżniczej męki-pracy. Szur, szur, trach, trach tłuką ziemię drewniane chodaki podnoszone setkami ludzkich piszczeleli. Już słyszę głosy kapów i blokowych – schneller! schneller!

To koniec męki – myślę – stratują mnie teraz, wdepczą moje śmierdzące ściervo w ziemię. Już za chwilę zostanie ze mnie tylko krwawa plama. Będę powoli zżerany przez muchy i robactwo na skorupie ziemi a nie pod nią. To jasne po co jej, ziemi, takie cuchnące łajno.

Szur, szur, trach, trach. I nagle... Setki chodaków zamarło. Zawły wilczury obozowe. Usłyszałem to przeciągłe psie wycie i zapadłem w nicość.

\* \* \*

Leżałem na narach obozowego rewiru – tak nazywano „szpital” kacetu – i nie pamiętałem, jak to się stało? Kto mnie tu, jeszcze żywego trupa przytaszczył? Tam, na tej piekielnej drodze męki, na drodze mego przeznaczenia, miałem być stratowany, zmiażdżony, włoczony w jej zwirowatą powłokę. Pożegnałem wtedy bez żalu te swoje zafajdane siedemnaście lat życia bez sensu. Czekałem na pierwsze rozgniatające uderzenie drewnianych chodaków pędzącego sonderkommanda. Wiedziałem, że moi współwięźniowie przejdą po mnie na rozkaz tych skurwysynów, zawsze pijanych esesmanów i wachmanów, ze strachu, który zawsze paraliżował; nawet bohaterów, żyjących na dnie. Przecież już nieraz to robili i ja sam byłem wtedy wśród nich. A teraz nie jestem, bo leżę na drodze od kilku godzin nurzając się w swoich gównach zmieszanych z krwią. Łajna jest więcej niż krwi, wyciekało śmierdzącym strumieniem z mojej rozwalonej bagnietem odbytnicy. I teraz to moje cuchnące ścierwo będzie rozgniecione na miazgę.

A jednak coś zagadkowego musiało się wydarzyć, bo żyję. Oto leżę na narach rewiru. Już nawet nie śmierdzę swoim gównem, którym byłem zbrzydzany. Teraz czuć mnie eterem, jodyną i jeszcze jakimś świństwem. Że też lapiduchy chcieli zająć się mną, babrać się w moim kale – myślę.

– Ach, już wiem, będą chcieli zrobić ze mnie królika doświadczalnego. Początkowo nie mogli prawdopodobnie uwierzyć, że śmierdziel z przetrąconym kręgosłupem i rozpierdzieloną dupą wytrzymał tyle godzin bez opatrzenia tak straszliwej rany i nie poszedł do piekła. I ja sam nie jestem w stanie uwierzyć w to co się stało. To nie jest sen, to rzeczywistość. Cholerny ból jest tego dowodem. Po kilku straszliwych dniach pełnych męczarni – ranę oczyszczono bormaszyną do wiercenia dziur w żelazie, bez znieczulenia, na żywca – dowiedziałem się kto wydarł mnie potwornej śmierci, tam na drodze do piekła i skazał nieświadomie na jeszcze potworniejsze męki w obozowym rewirze. Głównym sprawcą był oczywiście Kirgiz, nazywany w kacecie przez współtowarzyszy Dżyngisem, mój towarzysz niedoli z górnej pryczy. Przyjaźniliśmy się.

Dżyngis, prawie pięćdziesięciolatek, opiekował się mną siedemnastolatkiem, traktował jak własnego syna. Przed kilkoma miesiącami, jak złapali mnie podczas drugiej ucieczki i skatowanego przyprowadzili do kacetu, Dżyngis był pierwszym, który przemówił do mnie opatrując rany listkiem popularnej babki, którą zwilżał własną śliną. I kiedy pewnej nocy leżeliśmy na pryczy, zmaltretowani katorżniczą pracą w kamieniołomach Dory, Kirgiz spuścił się do połowy ze swojej i szeptem zapytał:

– Jak ciebia zowut malczyszka, aa? Zawinąłem rękaw swego pasiaka i pokazałem swój obozowy numer.

– To ja znaju. Imia twajo, panimajesz? Mienia zowut Dżyngis – dorzucił.

– A mienia Tadeusz. Tadełusz, Tadełusz – wymamrotał. Dla mienia ty budziesz, prosto, Tadzia, choroszo? I tak zostałem Tadzia.

Dżyngis opowiedział mi kiedyś swoje zsrane, pastusze życie. Przed rewolucją bolszewicką był pastuchem niepiśmiennym. Po rewolucji też nim był, ale już nie analfabetą. Władza sowiecka nauczyła go pisać i czytać. Chciała go nawet, ta władza, posłać wyżej do szkół, ale on nie chciał. Wolał pozostać pastuchem jak jego ojciec i dziad. Dżyngis był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Mówił, że w życiu nie spółkował z żadną babą. Przed rewolucją w Kirgizji żonę można sobie było kupić. On – zwykły pastuch, sierota nie miał pieniędzy. Mając osiemnaście lat, a było to w roku 1911, spróbował, za namową swoich kolegów pastuchów pojechać iszaka (oślicę). Lepsze to niż onanizowanie się. Zawsze to dziura. W tym miejscu biografia Dżyngisa spowodowała u mnie mdłości i o mało nie wymiotowałem pół litra śmierdzącej brukwi, którą zjadłem jak rzytas podczas „przerwy obiadowej”. Początkowo brzydziłem się Dżyngisa. Uważałem go za zboczeńca seksualnego. Ale z czasem przyzwyczailem się. Kirgiz był wspaniałym człowiekiem, jak tylko mógł to pomagał mi w ciężkiej pracy: przy pchaniu wagonów z ładunkiem kamienia, dźwiganiu ciężkich bloków bazaltowych lub granitowych. Kilka razy został dotkliwie pobity przez wachmanów za to tylko, że chciał zamienić się ze mną na młoty, ofiarowując mi lżejszy. A w ogóle ten prosty, prymitywny człowiek kumulował w sobie wszystkie dobre, ludzkie cechy. Był w obozie jedynym, na którego nie rzucały się obozowe psy-hieny, ba, łąsiły się do niego merdając ogonami.

Owego pamiętnego dnia, kiedy to ciężko ranny oczekiwałem na drodze niechybnej śmierci, Dżyngis pędził na czele kommanda i już z daleka dojrzał swoim orlim wzrokiem leżącą postać. Wcześniej, w kamieniołomie, widział on jak zezowaty Hans wrzeszczał na mnie dlaczego przerwałem pracę, bił i wymyślał od polskich świń a potem wyprowadził z wąwozu. Po naszym wyjściu Dżyngis nasłuchiwał czy nie padnie strzał. A kiedy nie usłyszał i Hans wrócił sam, domyślił się, że esesman załatwił mnie bez wystrzału. I właśnie w chwili, gdy dojrzał z pewnej odległości leżący nieruchomo na drodze ludzki kształt trupa, czy rannego, zaczął krzyknąć:

– Stójcie druzja! Wot on, nasz malczyk, nasz Tadzia, stójcie! On nawierno jeszcze żyw. Dżyngis rzykował narażając się na śmierć. Kommando jednak na sekundę zatrzymało się i wtedy bohaterski Kirgiz chwycił mnie na ręce i potykając się gnał co sił w nogach z oniemiałym kommandem do obozu.

Wachmani, którzy szli z tyłu kolumny marszowej, mogli nawet nie zauważyć chwilowego zatrzymania się kommanda. Zresztą część więźniów nosła na swych barkach kilkunastu zabitych i rannych towarzyszy niedoli, którzy, tak jak ja, nie wytrzymali trudu pracy całej zmiany. Zapłacili za to życiem lub ciężkim okaleczeniem, co w konsekwencji prowadziło na ruszta krematoryjne.

W rewirze lekarz obozowy dokonał selekcji rannych, kogo zakatrupić, a z kogo uczynić królika doświadczalnego, który też skazany był na śmierć, ale powolną, często w męczarniach. To drugie, choć nie zupełnie, spotkało właśnie mnie.

Szwabi się jednak pomylili, bo ja chyba byłem ze stali lub tak twardy jak ta granitowa lita skała, z którą się brałem za bary owego pamiętnego dnia, w kamieniołomie Dory. Wytrzymałem na sobie wszystkie trzy operacje zgangrenowanej kości ogonowej i uciętej bagnetem Hansa odbytnicy. Ścierwo moje trzęsło się jak galareta na kamiennym stole operacyjnym, kiedy wwierała się w nie bormaszyna swymi straszными wyjącami świdrami. Niemiecy lekarze-oprawcy i kilku lekarzy-więźniów byli zaskoczeni moim silnym organizmem i wytrzymałością na ból fizyczny.

Oczyszczanie rany przeprowadzano sposobem iście średniowiecznych tortur, dezynfekowano ją żywą jodyną, w której nasączono tampony z waty i wpychano je ordynarnie szczypcami chirurgicznymi w ziejący otwór rany.

Podczas krwawych zabiegów i opatrunków uparcie milczałem. To moje „morda na kłódkę” doprowadziło konowalów faszystowskich do histerycznej wprost złości, a nawet do furii. Patrzyłem wtedy na swoich oprawców i chciało mi się drwiąco ich zapytać:

– No i co skurwiele! Czyż moje wątłe ścierwo nie jest silniejsze od was? Od waszych narzędzi tortur? Połóżcie na moim miejscu zdrowego, spasionego esesmana, a zobaczycie czy nie zawyje na sam widok waszej świszczącej bormaszyny zanim zdoła ona sięgnąć jego tłustej dupy.

A ja wciąż żyłem, w cholernych męczarniach, bo bez najprymitywniejszych środków znieczulających ból, ale żyłem. Moje serce, chyba jak wahadło jakiegoś masywnego dzwonu, ciągle biło i to nawet dość rytmicznie.

Podczas długich, zimnych, listopadowych nocy Dżyngis – pod pretekstem urywania się do latryny – zaglądał potajemnie w okno rewirowego baraku, gdzie leżałem i z rozplaszczonym na brudnej szybie nosem rozmawiał ze mną na migi. Język-szyfr, którym ze sobą rozmawialiśmy, operując palcami rąk, tylko nam był znany i zrozumiały.

Kirgiz i Polak, rzuceni okrutną wojną w piekło obozu koncentracyjnego, w samym centrum Niemiec faszystowskich, stali się ojcem i synem. Ojciec walczył o uratowanie, chociażby trupa swego przybranego przez przypadek syna, a syn, który owego pamiętnego dnia zrezygnował z walki o życie, bo nie widział już sensu, teraz po przejściu jakby czarnego tunelu wiodącego ku wyzwoleniczej śmierci, zobaczył nagle w oddali maleńki punkcik światełka. I właśnie ono, to światełko, stało się dlań drogowskazem prowadzącym znów ku życiu, które tak niedawno znienawidził. Przecież wytrzymałem już najgorsze, a ta cholerna kostucha zadrwiła sobie ze mnie. Spóźniła się jak syta kurwa na spotkanie ze swoim sutenerem. Skoro tak, to może jednak trzeba wracać do życia? Tego bez sensu, zafajdanego, niewolniczego życia?

Dotychczas tylko jeden, zwyczajny, prosty człowiek, którego kochanką i żoną zarazem była prawdziwa kłapoucha oślica chciał abym żył. A teraz jest już nas dwóch – Dżyngis i ja, którzy chcą bardzo, cholernie tego samego.

Już postanowiłem. Tak. Będę żył. Dla siebie i Dżynginsa, któremu zaszran los poskąpił nawet najzwyczajniejszą na świecie kurwy i na złość, na przekór faszystowskiemu bestiom-dręczycielom. Ja im pokażę, że człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać, pokażę im jak silni są Słowianie. Jestem przecież jednym z nich.

\* \* \*

Przez cztery miesiące walczyłem o życie, o życie rannego heftlinga. Z gipsem nałożonym na okolice kręgosłupa i całej miednicy – zostawiono mi tylko otwór na wprost odbytnicy, abym mógł wydalać z siebie przerobione przez żołądek podłe, obozowe żarło – z gniazdami pluskwów pod gipsem, które maltretowały moje gnijące ścierwo wysysając krew oznaczoną w grupie o rh+, ale z wiarą, być może, w nowe odmienione życie.

Szła wiosna 1945 roku, która do obozu koncentracyjnego zamiast zielenią, kłaskaniem weselących się ptaków, kumkaniem żabiego koncertu i ciepłymi promieniami słońca, docierała ale tylko wydłużającymi się dniami niewolniczej pracy, zwiększoną przepustowością dymiącego dniami i nocami krematorium, pożerającego całe tony ludzkich zwłok i zwiększoną nienawiścią katów do ofiar.

Do tego ziemskiego piekła docierały, jakąś nieznaną pocztą wieści, że wojna ta, wojna zła, już się kończy, że jej żelazny, miażdżący walec zmierza nieuchronnie ku bramom Berlina.

Serca więźniów przepełniały na przemian radość i trwoga. Radość z kończącej się wojny, a trwoga przed zemstą katów, którzy dla zatarcia śladów swojej zbrodni w każdej chwili mogli wymordować nas, wszystkich, na progu wolności, a obóz puścić z dymem pożaru.

Moje sponiewierane i niezbyt jeszcze sprawne ciało i dusza pracowały w sonderkommando przy paleniu trupów w krematorium. W komandzie było nas trzydziestu. Wiedzieliśmy, że w razie likwidacji obozu my pierwsi pójdziemy do świętego Piotra przez komin, jako ci najważniejsi świadkowie masowych zbrodni hitlerowskich. Każdy następujący po siebie dzień, każda mijająca pełna koszmarnych snów noc, były wielką niewiadomą przedłużającego się życia lub zbliżającej się śmierci.

W kwietniu nasiliły się naloty i bombardowania samolotów alianckich. Front zachodni od strony miejscowości Kassel dudnił coraz bliżej działami.

Nadzieja wstępowała w osłabione, pokaleczone serca ludzi-numerów, którzy się nagle odnajdywali w swoich imionach i tak bardzo pragnęli przetrwać, żyć. Oto otwierał się przed nami pogrzebany dotychczas, a teraz wracający jak bumerang sens życia, być może sytego prawdziwym chlebem, pachnącego świeżością białej pościeli, tętniącego miłością dwojga płci tak dawno nie doznanej, nie spełnionej, a przecież tak potrzebnej każdej żywej istocie.

Podczas licznych, bezsennych nocy snulem ze swoim obozowym ojcem ewentualną wizję naszego przyszłego radosnego życia. Dżyngis marzył o objęciach pulchnej kobiety, która nauczy go prawdziwej ludzkiej miłości, a ja nastolatek o sytości chleba, gorącego mleka od krowy i wyspania się do woli.

Niezbyt wygórowane to były marzenia – prawda? Ale o czym mogli myśleć podludzie z profesją grabarzy krematoryjnych. A tam, gdzieś w dżunglii nad Amazonką, dzikie plemiona Papuasów, czy Ancyupów, wygrzewały się w słońcu i wpięprzały do syta banany popijając je kokosowym mlekiem. Oto porównawcza eudajmonia ludzi, którzy jeszcze w obliczu śmierci, bo przecież nam ciągle groziła, nagła, niespodziewana, marzyli o jakże przyziemnych, prymitywnych sprawach doczesnych. Długoletni pobyt w hitlerowskich obozach zgłady uczynił z nas, niegdyś ludzi głęboko wierzących, bezbożnikami. Powoli acz systematycznie zabijał w nas wiarę w Boga Wszzechmogącego. No bo gdyby istniał, to musiałby ukarać zbrodniarzy, którzy Jego Imię nosili na klamrach swoich pasów.

Pod koniec pierwszej dekady kwietnia osiemnaście tysięcy więźniów-szkieletów ewakuowano cichaczem z kacetu, wśród nich, dzięki jakiejś zaradności i zapobiegliwości Dżyngisa, znalazłem się i ja.

Szliśmy, a raczej pelzaliśmy kilometr na godzinę w marszu śmierci, zostawiając w przydrożnych rowach swoich współtowarzyszy porażonych tyfusem, a dobijanych przez eskortujących nas wachmanów.

Do miejscowości Jena dotarło nas zaledwie dwa tysiące, tych najsilniejszych, chociaż i ci ledwie powłóczyli nogami. Szesnaście tysięcy istot ludzkich – bezimiennych Jugosłowian, Polaków, Rosjan, Włochów, niemieckich antyfaszystów – pozostało w przydrożnych rowach i zagajnikach dobitych strzałami w potylicę i rozszarpanych kłami obozowych psów-wartowników, tuż na samym brzeżku zbliżającego się dnia wolności.

Dwa tysiące więźniów krańcowo wyczerpanych, tylko dwa tysiące dotarło, doczłapało się do rogatek, do przedmieść Jeny i na wzgórzach, tuż nad rzeką Soławą (Salą) rozłożyło się na noc obozem. Padałszy jak snopy zboża przewracane wiatrem, gdzie kto stał. Wielu ogarnęła apatia rezygnacji. Większość z nas zapewne nie wierzyła, czy będzie w stanie wykonać obozową, niemiecką komendę – antretten! – gdy padnie ona wśród nocy lub nawet o świcie owego kwietniowego poranka. A przecież wolność była tuż, tuż. Armatnie pociski 6 armii amerykańskiej przelatowały z furkotem nad nami i nad Jeną nie czyniąc miastu żadnej krzywdy. Amerykanie prawdopodobnie oszczędzali miasto, nie chcieli go burzyć. Były tam słynne fabryki szkła precyzyjnego, optycznego „Zaissa” i „Schotta”.

Wspólnie z Dżyngisem, nie bez tragicznych momentów minionego marszu śmierci, jak również słabą jeszcze moją dyspozycją zdrowotną – przez więcej niż połowę trasy Kirgiz niósł mnie na swoich plecach – dobrnęliśmy z trudem pod Jenę. Dżyngis, człowiek natury, który większą część swego życia spędził na jej łonie wśród stad koni, mułów i owiec, był bardzo wytrzymały. Jego niedźwiedzia wprost siła pozwoliła przetrwać pobyt w obozie a teraz przydała się również mnie, chuderlakowi.

Leżeliśmy jak inni w jakimś wyżłobieniu ziemi, drżąc z zimna w swoich przemoczonych, śmierdzących własnym potem i odchodami pasiakach. Po pewnym czasie odezwałem się do swego obozowego ojca i wybawcy z szokującą propozycją.

Dżyngisie! Jestem cholernie zmęczony i głodny. Może to nasza ostatnia noc wśród żywych. Wróc, źle powiedziałem, półżywych. Przecież my prawie jesteśmy martwi, ale teraz jak nigdy przedtem chce mi się żyć. Nie chciałbyś razem ze mną spróbować ucieczki? Pilnujący nas konwojenci gdzieś się ulotnili. Daję swoją umierającą głowę, że oni się boją. A wiesz przecież mój druhu serdeczny czym jest strach. Front Zachodni jest blisko. Te skurwysyny wiedzą co ich czeka, gdyby wpadli razem z nami w ręce sojusznicznych wojsk amerykańskich. Wiedzą też, że nasze zmęczenie osiągnęło szczyt i że w takim stanie nikt nie będzie próbował ucieczki. Nie mam wycucia czasu, ale prawdopodobnie za około dwie godziny wybije północ. Z pierwszym pianiem kurów spróbujemy się stąd wyczołgać. Cóż ryzykujemy – swoje zafajdane dotąd życie? Raz rodyła maty. Ukryjmy się w jakiejś szopie lub chlewie,

tam nawet będzie cieplej a może też znajdziemy coś do żarcia i doczekamy ranka. On musi przynieść nam wolność. Martwi lub żywi, ale wolni.

Dźyngis długo coś w sobie przegryzał, jakby z głodu ssał swój własny język, a potem rzekł:

– Choroszo Tadzia, ty praw, toczno, nam nada iz tuda bieżać. Ja uże sogłasien, ja gotów moj dorogoj malczyszka, ja budu tibia sochraniat.

Resztę czasu, przed ucieczką, spędziliśmy obaj na masowaniu swoich obolałych nóg i nacieraniu się nawzajem, zimno bowiem bardzo nam dokuczało. Wśród ludzi leżących pokotem słyhać było jęki i charczenia. Dla wielu więźniów była to ich ostatnia noc, noc przedśmiertelnej agonii.

Kiedy na przedmieściach Jeny, nie tej wielkowiejskiej a tej Dorf-Jeny, zapiały pierwsze kury, zaczęliśmy wyczołgiwać się z obozowiska. Centymetr po centymetrze, metr po metrze pełzaliśmy ku wolności, ku życiu. Postanowienie ucieczki było tak wielkie, że wykrzesaliśmy z siebie resztki sił, jakie dotychczas kumulował nasz wyczerpany organizm.

Po godzinie nocnego pełzania, niemal po omacku, znaleźliśmy się obok jakiegoś obejścia. Sfor-sowaliśmy słabe ogrodzenie i stanęliśmy przed budynkiem gospodarskim obok kurnika, prawdopodobnie fermy kurzej. Do budynku-szopy przystawiona była drabina. Postanowiliśmy wdrapać się po niej do góry. Pierwszy uczynił to Dźyngis, ja oczekiwałem na dole, obserwując, czy nikt nas nie śledzi. Mieliśmy szczęście w naszym nieszczęściu, gospodarstwo pozbawione było psa. Ten by nas wytropił.

– Tadzia! Wlezaj, no pomaleńku – usłyszałem głos-szept Dźyngisa. Byliśmy na poddaszu szopy wypełnionym miejscami słomą i sianem. Wciągnęliśmy, nie bez trudu drabinę. Spenetrowaliśmy schowek. Znaleźliśmy garsteczkę zbutwiałego ziarna żytniego. Przeliczyłem ziarenka. Było ich osiemdziesiąt. Odliczyłem na wyciągniętą dłoń Dźyngisa czterdzieści małych jak pchełki ziarenek. Od trzech dni nie mieliśmy w gębie niczego, co mogłoby przypominać nam żarcie. Po drodze, podczas „marszu szkieletów”, złopaliśmy, jak świny, brudną wodę z przydrożnych rowów. To chyba jakiś cud, że nie złożył nas dotychczas tyfus, jak uczynił to z tysiącami naszych współtowarzyszy.

Teraz zgrzytały szczęki. Męliśmy zębami jak żarnami, każdy swoje czterdzieści ziarenek żyta, które smakowało jak najwyżsienitszy tort. Potem garstka ziarenek spowodowała głośnie burczenie w pustych kiszkaach, tak głośnie, iż baliśmy się, że pobudzimy bydłatka śpiące poniżej naszej tymczasowej kryjówki. I przyszedł potworny wręcz głód a z nim osłabienie całego organizmu. Zaczęliśmy żuć siano. Zajęci tą czynnością usłyszeliśmy na podwórzu jakiś ruch i niemiecki szwagot. Dźyngis powolutku podniósł płytkę dachówki. Szarzało. Na podwórzu stała grupka niemieckich żołnierzy i o czymś rozprawiała z jakąś babą, prawdopodobnie gospodynią obejścia. Kobieta obdarowywała żołnierzy jakimiś cudacznymi, okrągłymi, białymi przedmiotami. Dźyngis wlepił oczy i po chwili szepnął do mnie:

– Eto jajca. Szwabi robili w nich dziurki, po obu stronach i natychmiast wypijali.

– Jajca pjut sukinsyny, a my podychajem z głoda – powiedział ledwie dosłyszalnie Dźyngis.

W chwilę potem na drodze roległ się szum motoru. Samochód zatrzymał się, padły jakieś komendy i głos Niemców pijących wcześniej jajka:

– Auf Wiedersehen Frau, danke!

Niemra poczłapała do domu. Na pewno syta zagrzebie się teraz w czystej pościeli łóżka i będzie śniła błogi sen o swoich dzielnych, nakarmionych świeżymi jajami zuchach-mordercach. A my? Jeszcze więźniowie-uciekiniery, z pełnymi ustami siana, jak króliki, będziemy czekali w swojej kryjówce zbliżającego się kwietniowego poranka. Co nam przyniesie jeszcze jeden boski dzionek, którego doczekaliśmy czepiając się życia, jak tonący brzytwy? Czy stanie się spełnieniem oczekiwanej latami w mękach kacetu wolności? Czy wytropieni psami konwojentów-oprawców z Dory-Buchenwaldu zginiemy jak tysiące naszych współtowarzyszy niedoli podczas ostatniego marszu śmierci?

Po zniknięciu Niemki Dźyngis postanowił spuścić drabinę, zejść do kurnika i obłowić się świeżymi jajami. Wywnioskowałem, że bojowy Kirgiz chce nam obu zrobić jakową ucztę. Może ostatnią przed śmiercią? Zawsze to lepiej zdychać z pełnym brzuchem wypchanym kurzymi szwabskimi jajami. Świt się zbliżał. Konwojenci zapewne wrócili już ze swoimi psami w miejsce, gdzie na noc zostawili półżywych heftlingów. Może teraz psy nas tropią?

Zaprotestowałem decyzji Dźyngisa. – Przecież to pewna śmierć – powiedziałem. Przez ponad trzy doby nic nie żarliśmy, oprócz czterdziestu zbutwiałych ziarenek żyta. Jajka są ciężko strawne. Umieralibyśmy w męczarniach. Nam potrzebne jest w tej chwili mleko i to rozcieńczone z wodą. Musimy jeszcze pocierpieć, może już niedługo?

I oto w moje słowa wpadł jakiś przedziwny szum-warkot, jakby huk gąsienic zlewający się z seriami kaemów. Huk narastał, przybliżał się. Już było słyhać wyczuwalne uderzenia o szosę gąsienic czołgowych.

– Tanki! Jej Bohu tanki! – krzyknął Dźyngis otwierając drzwiczki naszego dotychczasowego schowka. Wyjrzelśmy. Szosą waliła kolumna shermanów z białymi gwiazdami na pancierzach. W otwartych włazach czołgowych siedzieli amerykańscy czołgiści.



– Amerykańcy! – wrzasnął Dżyngis. Tadzia, dawaj leśnicu, zlizajem, my swobodny. Dożdałiś oswo-  
boźdienia.

Sturlaliśmy się po drabinie na ziemię. Wyszliśmy na szosę. Padliśmy sobie w ramiona. Wyczerpani,  
głodni, ślaniający się, ale szczęśliwi. I znów życie, które niedawno przeklinaliśmy nabrało sensu. Kwiet-  
niowe słońce jakoś inaczej świeciło, a owiewający nasze zmizerowane twarze poranny wietrzyk cieszył  
się razem z nami.

Niebawem szosą nadjechało kilkunastu amerykańskich żołnierzy na motocyklach. Dowodził nimi  
jakiś Polonus. Dogadaliśmy się. Dżyngis podobny do zasuszonego sępa i ja – szkielec z czerwonym win-  
kiem na kieszeni brudnego pasiaka. W kwadrans potem byliśmy już pod troskliwą opieką lekarzy  
w polowym żołnierskim szpitalu.

\* \* \*

Szpital polowy 6 armii amerykańskiej już w kilka dni postawił na nogi, do niedawna, dwóch zdech-  
laków, Dżyngisa Achmetowa i mnie – autora niniejszej opowieści. Wróciliśmy ku człowieczeństwu od-  
zyskując swoje imiona i nazwiska. Przestaliśmy być numerami, których tatuaż widniał jeszcze na  
naszych przedramionach. Ja już w trzecim dniu mego pobytu w lazarecie poprosiłem chirurga o zlik-  
widowanie piętna na moim chuderlawym ciele. Dżyngis natomiast postanowił zachować swój numer  
na pamiątkę i dowieźć go do rodzinnej Kirgizji.

Amerykańskie władze wojskowe Jeny, miasta zdobytego bezkrwawo, przekazały nas, jako ozdrowieńców,  
odzianych teraz w amerykańskie uniformy wojskowe bez dystynkcji, do byłego obozu pracy  
przymusowej przy zakładach optycznych „Zeiss-Jena”. Znaleźliśmy się wśród ludzi różnych Naro-  
dowości: Polaków, Czechów, Jugosłowian, Bułgarów, Włochów, Francuzów a nawet Greków.

Ta wielojęzyczna mieszanina ludzi, niedawnych pariasów III Rzeszy a teraz wolnych, wierzących  
znów w sens życia, przyjęła nas jak swoich braci, a dowiedziawszy się, że byliśmy ongiś więźniami KL-  
Dora otoczyła specjalną opieką.

I tak spełniły się, w nadmiarze, marzenia snute latami, nawet wtedy gdy kilkakrotnie uciekałem  
śmierci z jej kościstych objęć. Spałem dniami i nocami budząc się jedynie na posiłki smaczne i syte.  
Zaopatrzenie, do niegdyś obozowej stołówki, dostarczali wojskowi intendentzi amerykańscy. Chleba,  
ryżu i mięsa było pod dostatkiem. Chude, głodowe lata, strach przed dniem następnym, zacierały się  
i poszły szybko w zapomnienie. Pełnia wiosny roku 1945 napawała ludzi radością z rysującego się szyb-  
kiego powrotu w rodzinne strony. W połowie maja, gdy wojna i fronty zastygały, Dżyngis zaczął mnie  
usilnie namawiać, bym z nim poszedł do burdelu. W jego słownictwie do bardaku. On bardzo chciał,  
cholernie pragnął przespać się z jakąś babą. Już dawno skończył swoje człowiecze półwiecze, a nie miał  
pojęcia jak smakuje prawdziwa baba. On – syn niebotycznych Gór Niebieskich (Tienszan), były pas-  
tuch żyjący jak nieposkromiony orzeł, zamknięty potem w klatkach faszystowskich obozów kaźni,  
chciał przeżyć tę okrutną, zasraną wojnę tylko dla tego jedyne go celu. To był sens jego dotychczas-  
sowego, człowieczego jestestwa.

Moje ja, nastoletniego, niedoświadczonego szczeniaka buntowało się przeciwko niecnym – tak mi  
się wtedy wydawało – chuciom dojrzałego, pięćdziesięcioletniego Kirgiza.

– Dżyngisie! – odpowiadałem – w obozie jest tyle różnych kobiet odkarmionych na amerykańskim  
wikcie, latami wyposzczonych, łaknących miłości, tej niezbrukanej a czystej, związanej z uczuciem a nie  
za pieniądze. Zapoznaj jakąś, masz do wyboru: Greczynki, Włoszki, Francuzki, Polki, Jugosłowianki...

– Kiedy ja się wstydzę – odpowiadał nieśmiało Dżyngis – nie znam języków, oprócz kirgiskiego i ro-  
syjskiego. Na migi mam z nimi rozmawiać?

Poznaj Słowiankę. Jugosłowianki, Bułgarki, Polki, Czeszki mówią przecież zbliżonymi językami.  
Zresztą – przekonywałem Dżyngisa – spróbuj, to nie jest takie trudne. Ja w tej sprawie nic ci nie mogę  
poradzić, bo nie mam żadnego doświadczenia. Ja nawet w swoim krótkim życiu nie pocałowałem żad-  
nej dziewczyny. Ale gdybym miał stracić cnotę to nigdy na zwykłej kurwie.

– Nie! – odpowiedział Dżyngis – w bardaku nie nada howoryt. Tam dajosz diengi i jebiosz.

Kirgiz był prostym i rubasznym stworzeniem. Wszystkie rzeczy nazywał po imieniu. Nie umiał Ina-  
czej. Gdzie się u diabła miał nauczyć oglady? Wśród bejowskich a potem sowchozowych stad koni  
i bydła? Na wojnie? Albo tu w faszystowskich obozach kaźni, gdzie człowiek w pasiaku przestawał być  
człowiekiem?

Kochałem Dżyngisa jak ojca, jak starszego brata, jak najbliższego przyjaciela. Kochałem go takim,  
jakim był. Nie wyobrażałem go sobie innego. Owszem w wyobraźni, tej nierealnej, widziałem go jeszcze  
inaczej: jako legendarnego dżygita na ognistym dzianecie w rozwianym płaszczu-pelerynie pędzącego  
szczytami Tienszanu, śnił mi się nieraz w tym właśnie przebraniu. Na jawie Dżyngis był po prostu  
skromnym, szarym, pełnym kompleksów człowiekiem. Bardzo dobrym, odważnym i na swój sposób  
wrażliwym człowiekiem.

Uległem wreszcie naleganiom swego przyjaciela i druha. Poszedłem z nim do burdelu. Dom nierządu zupełnie legalnie funkcjonował w centrum Jeny. Do niedawna, podczas wojny, służył urlopującym żołdakom i nie tylko. Jego mieszkanki – mieszanina kobiet różnych narodowości – zmuszane były do nierządu pod karą śmierci. Teraz, w kilka tygodni po wojnie, część prostytutek opuściła „pensjonat”, ale spora ich liczba pozostała. Innymi słowy, kurwy były te same, przestawiono tylko łóżka, które nie zmieniły swojej profesji. Miejsca żołdaków niemieckich zajęli żołnierze amerykańscy i bardzo spragnieni seksu byli więźniowie hitlerowskich obozów pracy w Jenie.

Aktualnie „panienki” za świadczone usługi pobierały pieniądze w różnych walutach: markach, dolarach, frankach i funtach angielskich.

Zostaliśmy przyjęci w dość obszernym holu przez tłustą, z zadem perszerona, wyperfumowaną i wypacykowaną blondynkę, prawdopodobnie przez samą bajzel-mamę. Biorąc na siebie całość operacji czasowego oddania Dżyngisa w objęcia wybranej przez niego kurwy, zagailem po polsku. Okazało się, że blondynka znała język polski, była bowiem Ślązaczka. Po zdawkowym bąknięciu kilku wstępnych słów, wyjaśniłem o co idzie. Że przyprowadziłem klienta, że ja sam nie, ale mój przyjaciel chciałby, no tego...

Bajzel-mama uśmiechnęła się, ukazując równy garnitur sztucznych zębów i podała Dżyngisowi album z nagimi aktami swoich podopiecznych „panienek”. Dżyngis, śliniąc paluchy przewracał niezgrabnie kartki albumu, pozerając wzrokiem zamieszczone na zdjęciach dziwki. Po przejrzaniu całego albumu podał go mnie i powiedział:

– Tadzia dorogoj! Posmotryj, kakuju by ty wziął dziewczuszkę? Wybieraj mienia krasawicu!

Przejąłem album, nie bez młodzieńczej ciekawości i zacząłem go wertować. Gdybym był starszy i miał jakieś wykształcenie, to ów album odczytałbym jako swoisty dokument psychologiczny. Z każdego zdjęcia patrzyła na mnie zupełnie inna twarz. Nie chodziło o urodę, bowiem wszystkie były urodziwe – niedawni „panowie świata” wybrali z różnych kacetów, obozów pracy niewolniczej, najładniejsze niewolnice, których ciała latami bezceścił frontowy żołdak niemiecki i esesmański Spasiony wieprz – ale z twarzy tych nieszczęśliwych istot, najczęściej z wymuszonym uśmiechem, bo i to musiały robić na rozkaz, wzywały: gorycz, rozpacz, wołanie o ratunek do Boga i ludzi, rezygnacja z upodłonego życia. Najwięcej mówiły oczy, ten wrażliwy organ odzwierciedlenia ludzkiego wnętrza. Ale czyż ja, chłopiec z wołyńskiego chutoru, półanalfabeta, mogłem to wtedy tak właśnie odczytać? Chyba tylko instynktownie wybrałem dla Dżyngisa szczupłą, filigranową, o dużych, lekko przymrużonych oczach i małych, sterczących, jak dwie pomarańcze cycuszkach dziewczynę. Z fotografii nie wyglądała na wyuzdaną, perwersyjną żdzirę. Drobne rączki podtrzymywały ciężki woal włosów, jakby broniły ich przed drapieżnymi łapami zwierza-samca. Ją jedną, tylko ją wybrałbym dla siebie samego, gdybym był starszy, trywialny i bardzo zlakniony seksu. Pokazałem Dżyngisowi. Ten patrzył na zdjęcie dość długo i wykrztusił nieporadnie z rezygnacją w głosie:

– Eto jeszcze rebionok. Nu kak ja budu jeju... No użasno, żałko.

– Kak chcesz Dżyngis, no ana prekrasnaja dziewczuszkę – odpowiedziałem.

Bajzel-mama zerknęła przez ramię Dżyngisowi na fotografię dziewczyny i powiedziała do mnie po polsku:

– To nasza ozdoba, to po prostu księżniczka, Francuzeczka Iza. Jest u nas najkrócej, chyba od pół roku. Tu straciła cnotę. Dwa razy próbowała odebrać sobie życie. Początkowo gryzła nam klientów. Mieliśmy z nią sporo kłopotów. Potem zrezygnowała, uspokoiła się. Nie chce od nas odejść, mówi, że nie ma gdzie. Straciła całą rodzinę. Jest bardzo potulna i łagodna. To anioł a nie dziewczyna. Przetłumaczyłem Dżyngisowi to co mówiła o Izie tęga blondyna. Ten słuchał z zaciekawieniem a potem powiedział, że się decyduje, ale jeżeli nie będzie z nim chciała to mam mu wybrać inną.

– Ile mój przyjaciel będzie musiał zapłacić – zapytałem bajzelmamę.

– O-oo, ona jest najdroższa. Sto marek albo dziesięć zielonych za układ. Przetłumaczyłem Dżyngisowi, który ze smartwieniem odpowiedział, że ma tylko osiemdziesiąt marek. Sięgnąłem do kieszeni swojej wyfrasowanej amerykańskiej bluzy i wręczyłem przyjacielowi brakujące dwadzieścia.

Rozstaliśmy się. Dżyngis udał się, prowadzony przez blondynę z dupą perszerona, do garsoniery Izy-prostytutki zaspokoić swoje życiowe chucie, a ja pozostałem w holu na wcale nie różowych Rozmyślaniach o sensie ludzkiego żywota.

– Jakież on jest ten sens, wszystko jedno przez duże, czy przez małe „s” – myślałem. Dżyngis, prosty, prawy, ale biedny człowiek z dalekiej Kirgizji, dopiero po przeżyciu swego zasranego półwiecza przeplatanego głodem, chłodem, ludzkim upokorzeniem, wegetacją na dnie, spełni za chwilę to co powinno być naturalne, immanentne każdej żywej istocie, a tym bardziej człowiekowi. Dlaczego dla Dżyngisa życie było tak okrutne, skąpiąc mu nawet tego co powinno być w zasięgu ręki każdej dojrzałej istoty? Prawdopodobnie nie rozumiałem najważniejszego, a mianowicie, że brak kobiety w życiu mego obozowego przyjaciela był tym, co kazało mu o nie walczyć z surową przyrodą tam, w zaśnieżonych górach Tienszanu, na frontach wojny z Hitlerem, a potem w obozach hitlerowskich kaźni. Może niedoznana miłość z kobietą, istotą przeznaczoną przez Boga i naturę mężczyźnie, albo chociażby brak

z nią cielesnego spełnienia, kazały Dzyngisowi przetrwać, aby kiedyś dostąpić tego spełnienia? Może właśnie tylko w tym upatrywał się on sensu swego życia?

A w czym ja, sieroce dziecko rzucone wichrem wojny pod baty faszystowskich oprawców, upatrywałem swój sens życia? W sytości chleba naszego powszedniego? W ciepłym ubraniu? W jasnej szkole z czarną tablicą w czerwone na niej linie? W zapachu plasteliny do lepienia figurek? Cholera, to wszystko nie istniało w moim zafajdanym dzieciństwie, a teraz tkwiło jak zadra w młodzieńczym mózgu.

Już wiem, sens swego życia uzmysłowiłem sobie dopiero leżąc na narach obozowego rewiru Dory. Byłem wtedy jakby zamrożony potwornym bólem ran rozszarpywanych świdrami bormaszyny. Widziałem pochylone nad sobą mordy pseudolekarzy obozowych w czarnych esesmańskich uniformach. Mor-dy ironiczne, zdziwione, okrutne, złe, tępe. Wtedy postanowiłem żyć za wszelką cenę na złość tym skurwysynom. I to może po części było moim sensem życia. Ale co dalej? Żyję, jestem wolny, syty, jako tako odziany a nawet wyspany, ale okaleczony wojną. Okaleczony na całe życie nie tylko na ciele, ale przede wszystkim na duszy. Dobry duszek zagnieżdżony w jednej z moich szarych komórek mówił mi, że niebawem wrócę do rodzinnego kraju i zacznę życie od nowa, od pracy i nauki. I w tym znajdę sens swego nowego życia. Będą też i miłość i pieniądze.

Dalsze rozmyślania podsunęły mi jeszcze pytanie – czy dziewczyna z fotografii w burdelowym albumie, Iza, też odnajdzie swój sens życia?

Szukałem w myślach odpowiedzi, ale musiałem przerwać, bo baba-perszeron wracała już do holu schodząc ociężale po schodach. Szła podrygując śmiesznie swoimi olbrzymimi jak bufory wagonowe półdupkami, a sapiała jak lokomotywa. Usiadła na potężnym, jakby dla niej specjalnie wykonanym fotelu i zapytała mnie czy nie mam ochoty na kieliszek sznapsa, bo mój przyjaciel, przystojny brunet, tak szybko nie wróci.

– Ja się na mężczyznach znam – dodała – to Gruzin?

– Nie – odpowiedziałem – Kirgiz. A co do sznapsa, to jeszcze nie pijam. Jestem za młody.

– I dziewczynki też nie? – zapytała z uśmiechem rżącej kobyły blondyna. Bo mógłbyś po Kirgizie spróbować Izy – dorzuciła.

– Nie! – ryknąłem – Nie z prostytutką. Jeżeli kiedyś, to z dziewczyną mego serca. Brzydzą się brudów.

– Junge, junge – westchnęła bajzel-mama. Przecież Izę dosłownie zgwałcono wbrew jej woli. Ona ma dopiero dziewiętnaście lat. Esesmani zrobili z niej prostytutkę. A ze mną jak postąpili? Wpisali na listę WDL – pochodzę z Górniczej Dąbrowy. Wszystkich Ślązaków i Zagłębiaków zmuszali do przyjęcia tej listy. Potem zabrali od rodziny, przywieźli tutaj do Jeny i też zrobili prostytutką. Kiedyś byłam ładną, szczupłą, śmigłą dziewczyną, a kiedy się podstarzałam i zrobiłam się dicke, gruba jak krowa, zrobili szefową tego domu, czyli bajzel-mamą.

– Dlaczego pani nie wraca do domu, do kraju? – zapytałem.

– A ty chłopcze? – odparowała. Przecież jeszcze nie było transportu. A zresztą chcę zarobić trochę grosza. Nie na dupie, bo jej już nikt nie chce. Przepraszam chłopcze, że tak z tobą rozmawiam, ale przecież jestem eks-kurwą. Przepuściłam przez siebie co najmniej pułk różnych żołdaków. Trafił się nieraz generał, no i z batalion cywilów. Jestem jakby kurwą na emeryturze pracującą na pół etatu. Chcę teraz uzbierać nieco grosiwa, wtedy pomyślę o powrocie. Tylko do kogo? Mąż zginął w 1943 roku za Hitlera. Wzięli go pod pistoletem do Wehrmachtu. Dzieci rozebrała rodzina. Pięć lat nie miałam od nich wiadomości. Jeżeli nawet żyją, to jak im się pokażę? I co im powiem? Przez całe dalsze życie będę musiała ukrywać kim naprawdę byłam. A jak spotkam kiedyś jakiegoś byłego „klienta”?

Po wypacykowanej pudrem i różem twarzy biednej kobiety zaczęły bezszelestnie sphywać lzy, złościąc na niej pudrowate bruzdy.

Milczałem, a kobieta płakała nad swoim kurewskim życia losem. Płakałaby zapewne dalej, gdyby nie wejście do holu trzech barczystych Murzynów, żołnierzy amerykańskich. Weszli lekko się zataczając. Byli dobrze wstawieni i żuli gumę.

Kobieta szybko przypudrowała zapłakaną twarz i nie znając języka „klientów” zaprosiła ich gestem do zajęcia miejsc w wygodnych fotelach, podsuwając album z nagimi dziewczynkami.

Przeglądanie zdjęć trwało niezmiernie krótko. Widocznie mężczyźni byli mocno wygłodniali seksualnie. Wszyscy trzej wybrali sobie pulchne z dużymi cycami blondynki. Nad aktem Izy, zabierającej teraz cnotę Dzyngisowi, żaden nie zatrzymał wzroku.

Murzyni na migi zapytali kobietę o cenę „towaru”, który mieli za chwilę skonsumować, otrzymali numerki garsonier prostitutek i już ich nie było.

Przypatrywałem się wszystkiemu rozszerzonymi oczyma, oczekując z niecierpliwością na Dzyngisa, który, tak mi się wydawało, zbyt długo zabawiał się ze swoją – choć bardziej moją – wybranką losu.

Pojawił się wreszcie niosąc na mocarnych jak konary dębowe rękach nie dziwkę, lecz anioła. Iza ubrana była w czerwonego koloru peniuar, czarne jak skrzydło kruka włosy podtrzymywała purpurowa przepaska, na drobnych, kształtnych stopkach miała poślacane ranne pantofelki.

Dżyngis, szczęśliwy jak dziecko na widok swojej dawno nie widzianej rodzicielki, rozgrzany aktem miłosnym podszedł do mnie i nie opuszczając swego słodkiego skarbu-ciężaru powiedział:

– Tadzia! Gałubczyk! Smotry, eto sliszkom angieł – ponimajesz? Eto toż twój angieł, to ty bratok jeju dla mienia w knigie naszoł. Błagodariu.

Iza trzymała cały czas Dżyngisa za szyję szepcząc mu do ucha, prawdopodobnie, niezrozumiale dla niego a i dla mnie słowa miłości. Ten po chwili postawił ją na dywanie, objął mocno w szczupłej talii, przytulił i zaczął odpowiadać na niezrozumiale francuskie słowa po rosyjsku:

– Izoczka maja rodnaja, majo szczastje, sołnyszko majo, od siczas ty budzisz tolko moja. Ujedziesz somnoj w Kirgizju, budziesz majoj żenoj. Iza zapewne nie rozumiała w ogóle co mówił do niej Dżyngis, ale instyktownie domyślała się chyba rosyjskiego bełkotu, bo zaczęła przytulać się i przytakiwać swoją kształtną główką pokrywając pocałunkami kościste ręce kochanka.

– Nie nada Izoczka, nie nada, maji ruki nie guby – bronił się Dżyngis. Usiedli w fotelu. On wziął ją na kolana, a ona zaczęła po niemiecku rozmowę ze swoją szefową. Ta tłumaczyła na polski mnie, a ja z kolei tłumaczyłem na rosyjski Dżyngisowi. I znów jak w sprzężeniu zwrotnym, Dżyngis odpowiadał po rosyjsku, ja tłumaczyłem na polski a Gertruda, tak nazywała się bajzel-mama, Izie na niemiecki.

Tę trzyjęzyczną konwersację przerywały od czasu do czasu wizyty nowych „klientów”, wtedy Gertruda wyłączała się, by po załatwieniu „kontraktu” włączyć się ponownie do rozmowy. Dotyczyła ona i oscylowała wokół spraw mini-biografii Izy i Dżyngisa. Oboje chcieli o sobie cokolwiek wiedzieć. Po godzinie postanowili, że Iza, już teraz, w tej chwili, natychmiast, opuści wstretny dla niej burdel i przeniesie się z Dżyngisem do byłego obozu pracy przymusowej „Zeiss-Jena”, a stamtąd pierwszym transportem odjadą na Wschód w rodzinne strony Kirgiza.

Radość dwojga ludzi, którzy poznali się w tak niecodziennych, przedziwnych okolicznościach, nie miała granic i udzieliła się mnie, a nawet Gertrudzie, która kochała Izę jak własną córkę, a teraz cieszyła się z jej szczęścia.

Ta oto młodziutka, zaszczena Francuzeczka rzucona wojną na dno ludzkiego upodlenia znalazła swój sens życia.

\* \* \*

W sierpniu do byłego obozu pracy niewolniczej w „Zeiss-Jena” dotarła wiadomość, że za kilka dni wyrusza do Polski, przez Czechosłowację pierwszy transport chcących wrócić do Ojczyzny. Namówiłem Dżyngisa z Izą, teraz już nieformalne małżeństwo Achmetów, na wyjazd ze mną tym właśnie transportem.

– Z Polski do Kirgizji bliżej o jeden krok niż z Jeny – tłumaczyłem. Zgodzili się. Iza, która miała zdolności lingwistyczne, nauczyła się troszeczkę mówić po kirgisku i kilkanaście słówek знаła po rosyjsku z czego jej Joan, tak nazywała Dżyngisa, był bardzo dumny. Achmetowie jeszcze z czegoś byli bardzo dumni – Iza była w ciąży. Dżyngis, człowiek natury, surowy i twardy jak Góry Tienszanu w jego rodzinnym kraju stał się z czasem zupełnie innym człowiekiem. Izę, która za kilka miesięcy miała dać mu potomka, nosił na rękach jak jakieś bóstwo. Był czuły, troskliwy, opiekuńczy i ojcowski. Kobięca społeczność obozu w „Zeiss-Jena” nie bez zazdrości podziwiała dziwną parę: młodziutką, filigranową, śliczną Francuzeczkę i potężnie zbudowanego, przystojnego, szpakowatego Kirgiza. A ci nie kryli się ze swoją miłością. Sierpniowe, upalne dni roku 1945 były dla Izy i Dżyngisa Achmetów dniami gorącej, rozbudzonej miłości i pełnego szczęścia. Oto odnalazło się dwoje ludzi żyjących do niedawna na samym dnie ludzkiego upodlenia i nędzy, dwa ziarenka pustynnego piasku, które połączył okrutny wichur wojny. Byli jakby rozbitkami z dwóch okrętów, wyrzuconymi przez morskie fale na zbawczy brzeg, na którym się odnaleźli we wspólnym życia losie.

Przeszłość obojga przestała się liczyć. Zapomnieli o niej jak o złym śnie. Ale wśród nich był ktoś, kto nie miał nigdy zapomnieć o swoim minionym życia losie. Byłem nim ja, obozowy syn dzielnego Dżyngisa, królik doświadczalny KL-Dora. Nigdy nie zapominałem o ranach Izy, Dżyngisa i swoich, zadanych nam przez los wojny, gdyż byłem jej dzieckiem. Musiałem żyć z piętnem nie zagojonych, lecz permanentnie odnawiających się ran ciała i duszy. Żyć musiałem, bo któż za mnie i moich obozowych przyjaciół napisałby, po latach, to wstrząsające opowiadanie o sensie ludzkiego życia.

Pisałem w Jenie, w strefie wojsk armii amerykańskiej w lecie 1945 roku, piórem siedmioklasisty zaledwie, po trwającej ponad sześć lat wojnie. Tekst szlifowałem w wieku dojrzałym również intelektualnie.